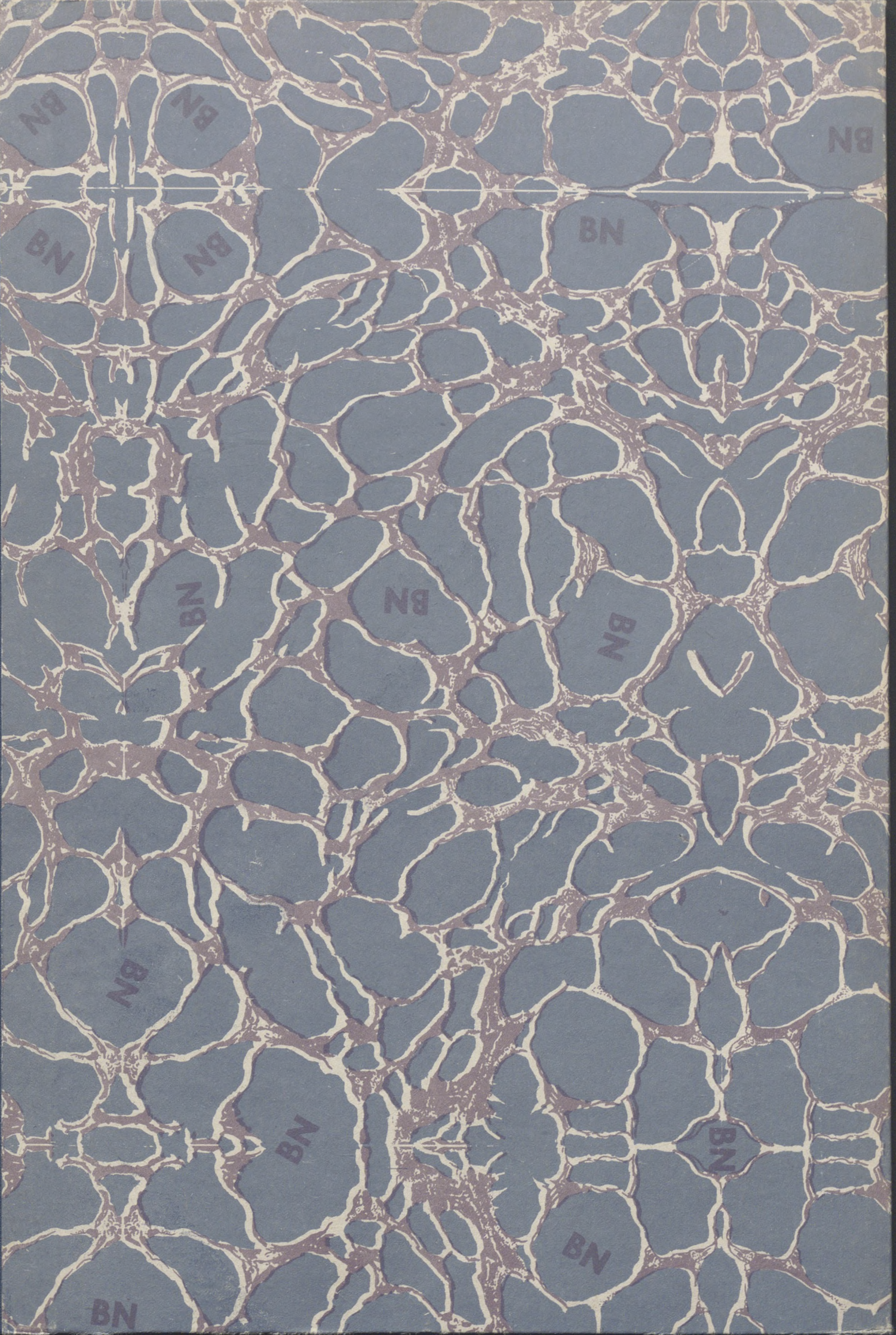


4

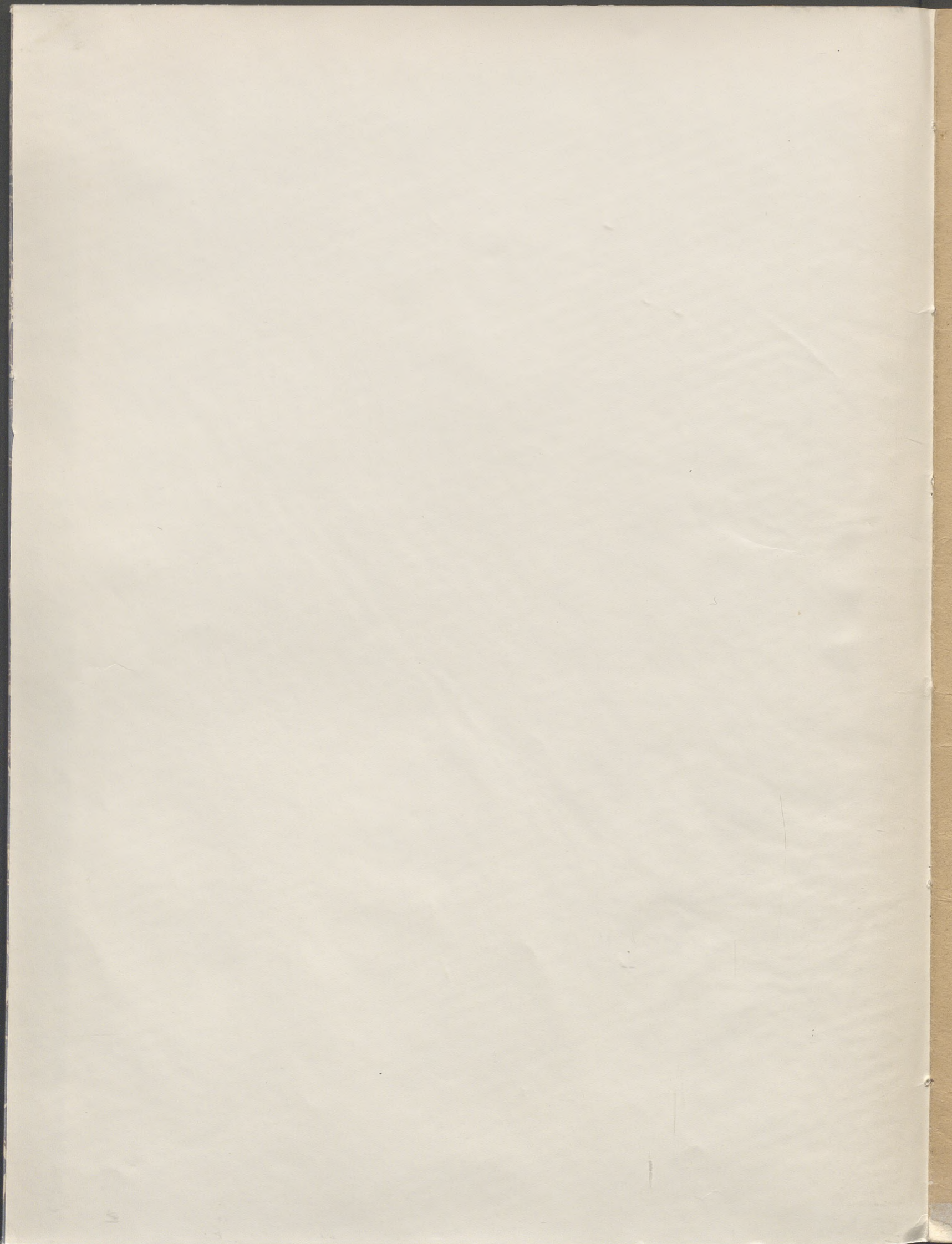
623395



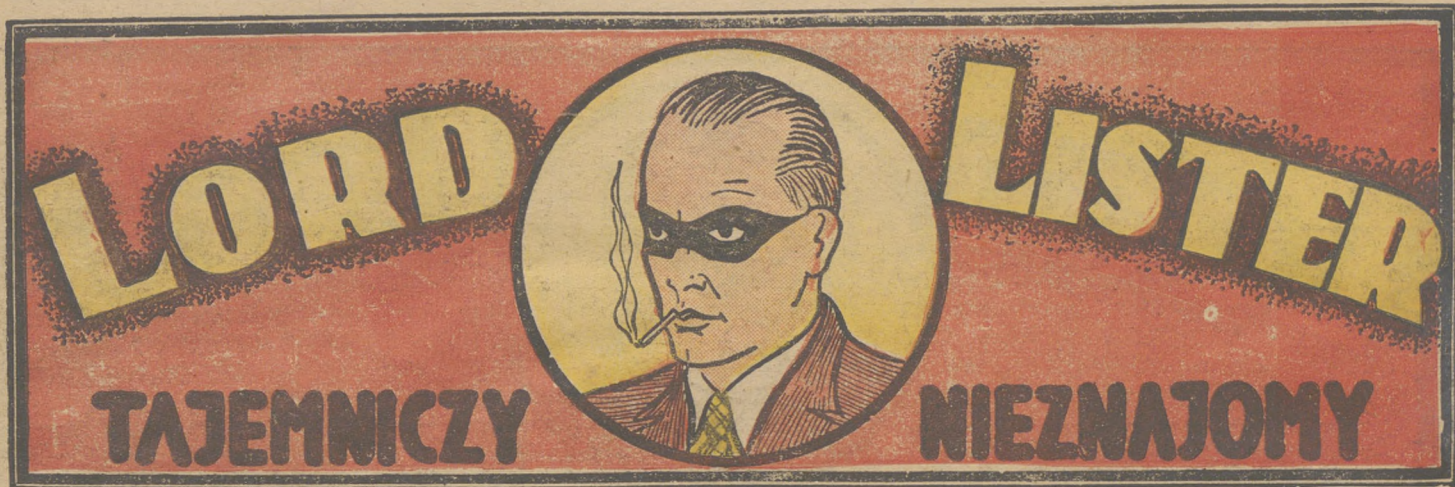


The main body of the page is a large, blank, off-white or light beige area. It shows signs of age, including creases, wrinkles, and some faint discoloration or foxing. The texture appears slightly rough and uneven. There is no text or other markings on this page.

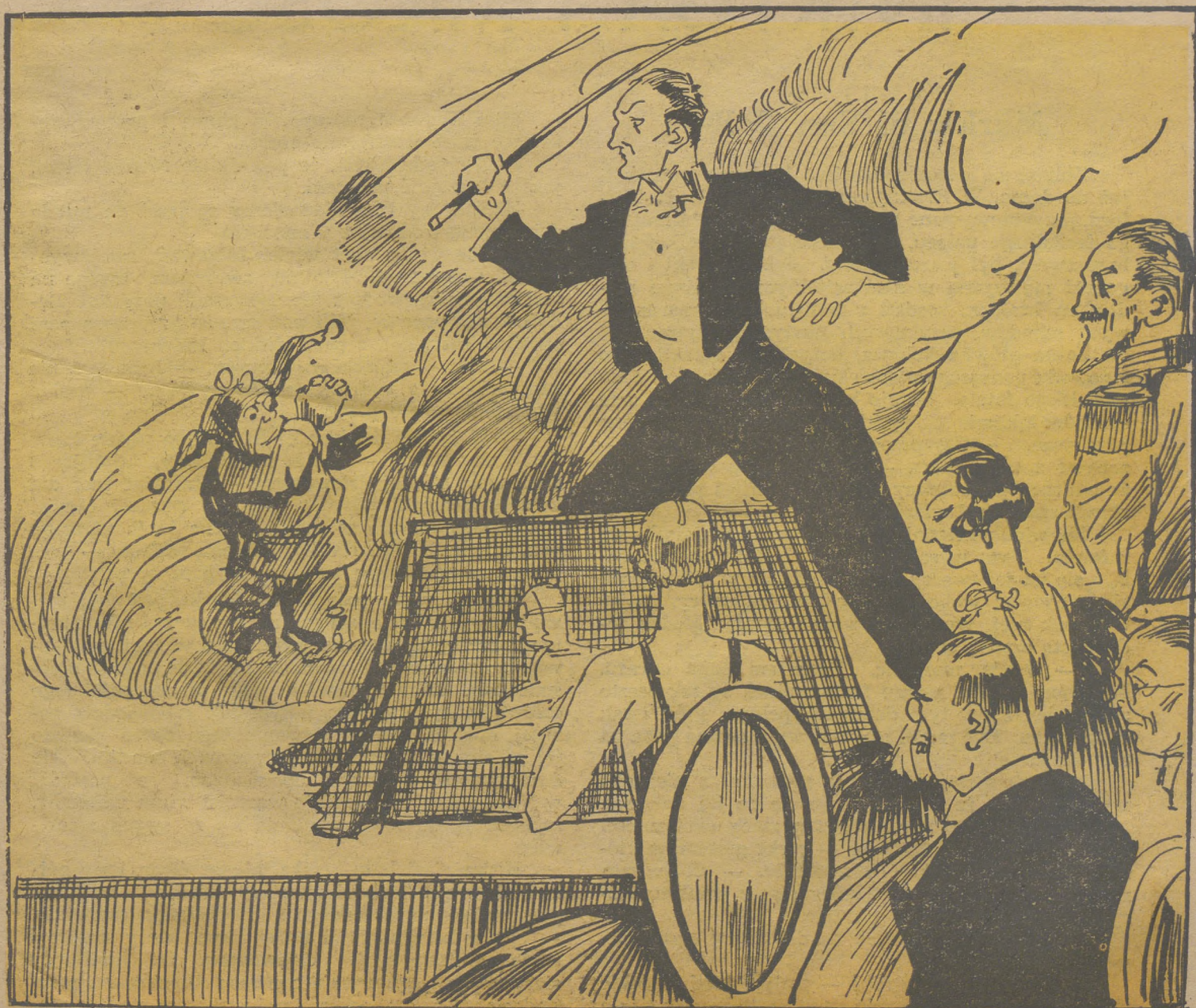




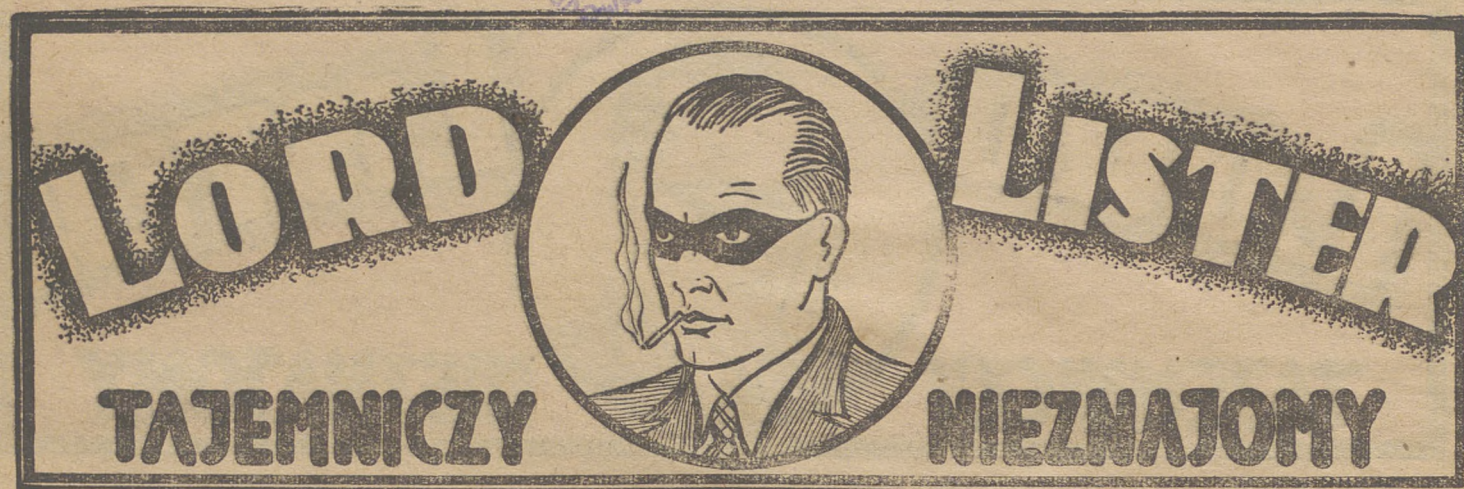
KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ. Nr. 4. Cena 10 gr.



## INTRYGGA I MIŁOŚĆ



W salonie lorda Clifforda zjawił się za sprawą lorda Listera karzeł, który przepowiedział wielką kradzież...



## INTRYGGA i MIŁOŚĆ

### Markiz di San Balbo

Zbliżał się wieczór. Myśliwi i ich psy powrócili już do domu. W Rastinghouse, siedzibie lorda Clifford, przygotowywano się do kolacji. Wielki hall tego feodalnego pałacu, przytłaczającego wielkością i bogactwem, był jeszcze pusty. Jakiś wysoki i elegancki mężczyzna w nieskazitelnym smokingu nie dbałym krokiem scodził z wspaniałych marmurowych schodów, przykrytych puszystym dywanem.

Jasna główka kobieca, dotychczas niewidzialna z powodu panującego półmroku, zarysowała się na tle głębokiego fotela. Dwoje błękitnych oczu o kolorze szafirów lekko i pytająco zwróciło się w stronę przybysza. — Czy przeraziłem panią, miss Goar? — zapytał z uśmiechem. — Może przypuszczała pani, że budzący powszechny lęk John Raffles postanowił skraść złoto pani włosów?

Na widok nieznanego dziewczę podniosło się z fotela. Była wysoka i smukła. Zakłopotanie odbiło się na jej twarzy. Nie wiedziała w jaki sposób się zachować wobec tego człowieka, który, stojąc tuż obok niej, wypielegnowaną dłonią gładził jedwabistą czarną brodę.

— O nie, markizie. Poznałam pana odrazu. Nie wiem jednak czemu to przypisać, że tak często spotykamy się w tym domu tak pełnym gości i tak obszernym. Być może, przeznaczenie stawia pana na mej drodze.

Nieznanemu, który nie spuszczał z niej oka wydawało się, że łza potoczyła się po jej policzku.

— Chciałbym, miss, aby ten zbieg okoliczności odpowiadał pani życzeniom — rzekł głosem w którym przebijało lekkie wzruszenie. — Chciałbym również, aby oczy pani strafiły wyraz smutku, który spostrzegam w nich obecnie.

Złożył długi pocałunek na delikatnej ręce dziewczyny.

— Nie mogę zrozumieć — podjął dalej — jakie może mieć pani powody do smutku. Wszyscy panią kochają i szanują. Jest pani pod opieką człowieka zanego, starego pułkownika Goara.

Miss Florence potrząsnęła głową i przewyciężywszy silne wzruszenie rzekła.

— Nie sądziłabym, że pan da się równie łatwo, jak inni, uwieść pozorom.

Zaskoczony tym nieznanym spojrzął na młodą dziewczynę i odparł z uśmiechem.

— Nie wolno zbyt wiele folgować swej wyobraźni, droga pani. Istotnie zwróciłem uwagę na coś, czego niezawodnie nie spostrzegli pozostali. Będę bliskim prawdy, jeśli powiem, że przyczyną pani smutku jest jeden z pani bliskich krewnych?...

— Tak — odparła dziewczyna. — Jeśli nikt nie przyjdzie mi z pomocą, jestem zgubiona — rzekła wybuchając nagle płaczem.

— W żyłach markiza di San Balbo płynie krew dawnych rycerzy — rzekł nieznanym, ujmując z czcią rękę młodej dziewczyny. — Pradziad mój dla kobiety pozwolił pograżyć się we wrzącej oliwie. Choć czasy obecne są mniej groźne i nie wymaga pani ode mnie tego rodzaju dowodu oddania — jestem zawsze duszą i ciałem do pani dyspozycji.

Miss Florence cofnęła się. Męska piękność nieznanego, który spoglądał na nią swymi niespokojnymi czarnymi oczyma wzbudzała w niej zaciekawienie i niepokój. Zrozumiała nagle, że uczucie onieśmienia, które odczuwała stale w obecności tego człowieka było niczym innym niż zapowiedzią gorącej miłości. Skonstatowanie tego faktu kazało jej na chwilę zapomnieć o przyczynach smutku. Ale Amerykanin, o którym opowiadano, że posiadał w Vuelta Abajos plantacje wartości wielu milionów, zachęcił ją do wypowiedziania się ze swych zmartwień.

Historia jej była krótka. Mister Goar, były pułkownik armii brytyjskiej, stary żołnierz, uważany powszechnie za uczciwego i szlachetnego człowieka — był w rzeczywistości nędznikiem, który upatrywał sobie na ofiarę młodą dziewczynę. Od chwili gdy siostrzenica jego wyszła z okresu dzieciństwa, prześladował ją swymi czułościami z uporem starego rozpustnika. Doszło nawet do tego, że pewnego wieczoru, odprawivszy całą służbę, przemocą usiłował za-

spokoić swoje nieczne żądze. Nie znaczyło to bynajmniej, że chciał ją poślubić. Nie przyszło mu to nawet na myśl. Chciał poprostu uczynić z niej swą kochankę, aby potem wygnąć, ją jak zwykłą dziewczkę, gdy przestanie mu się już podobać.

— Miałam pokojówkę, która była oddana i wierna — ciągnęła dalej przerywanym przez łkanie głosem. Parę dni przed wyjazdem naszym do zamku lorda Clifforda, nędznik ten oskarżył moją biedną Betty o kradzież i na zasadzie tego fałszywego oskarżenia wtrącił ją do więzienia. Znalazłam się obecnie zupełnie bez opieki i dreszcz mnie przejmuje na myśl o tym, że będę musiała powrócić sama z tym człowiekiem do naszych włości. Ale żywa nie wpadnę w jego moc — dodała z nerwowym śmiechem. — Wolę raczej śmierć niż hańbę.

Markiz di San Balbo zbladł jak ściana. Z wysiłkiem poskromił błyskawicę, jakie rzucił jego wzrok i rzekł po chwili ciszy:

— Nie rozumiem jednej rzeczy. Jest pani bogata, — jak mi powiedziano, posiada pani dużą fortunę. Nie jest więc pani na łasce tego człowieka. Czy istnieje jakiś wzgląd rodzinny, który mi nie jest znany a który nie pozwala pani opuścić domu tego łotra?

— Byłam bogata, to prawda — odparła wybuchając na nowo płaczem — rodzice moi pozostawili mi duży majątek, o którym pan wspominał. Ale człowiek ten wyzwał mnie z mej ojcowizny. Na własne oczy widziałam testament mego ojca, czyniący mnie jedyną spadkobierczynią. Ojciec mój pozostawił mej dobrej woli i mej dobroci wydzielenie z tej sumy legatów dla dalszej rodziny... Dokument ten znikł. Zamiast niego znaleziono po śmierci mego ojca inny testament. Mój wuj został w nim mianowany jedynym administratorem całości mego majątku. W akcie tym przedstawiono mnie jako istotę lekkomyślną, rozrutną i niepotrafiącą dysponować własnymi pieniędzmi. Mister Goar został wykonawcą testamentu. Winien mi on zapewnić mieszkanie i utrzymanie, odpowiadające mej klasie społecznej. Nigdy natomiast nie wolno mi żądać zwrotu majątku. Jedynie na wypadek mego małżeństwa cały majątek miał przejść na moje dzieci.

— W ten sposób nędznik skonstruował sobie bardzo wygodne gniazdko — rzekł markiz głosem drżącym z gniewu. — Teraz poznaję w przypadku, który nas zbliżył rękę Oparzności. Po wizycie tutaj w Rastingham niech pani wraca spokojnie ze swym wujem do Kilburti. Może pani być pewną że on nie odważy się więcej narzucać pani ze swymi czułościami, ani też nie uczyni żadnej propozycji obraźliwej. Pójdę dalej: okaże on się nawet szczęśliwy, jeśli raczy mu pani zachować serce i odrobinę litości!

— Czy naprawdę? Czy chce pan mi pomóc — spytała z niedowierzaniem i radością. — O, niech mi pan powie, co zamierza pan czynić? Czy wie pan coś o moim wuju?

Nie zdążyła jednak usłyszeć odpowiedzi. Markiz ścisnął serdecznie jej dłoń. W oczach jego mallowała się cicha obietnica wierności.

## Dawna intryga

W tej chwili właśnie elegancka brunetka schodziła ze schodów i weszła do hallu. Wspaniała jej wieczorowa suknia pozwalała podziwiać szlachetną linię jej pleców i szyi.

Madame Mabel Merton nie była wcale starsza

od miss Goar, lecz rysy jej twarzy zdradzały nerwowość i usposobienie porywcze. Brak jej było dziecięcej słodyczy i wdzięku, który zdołał twarzyczkę młodej blondynki. Brazylijczyk, który jak sam twierdził, był ostatnim potomkiem starej rodziny hiszpańskiego pochodzenia, wydawał się ślepy na tę ukazującą się piękność kobiecą. Twarz jego przybrała zimny wyraz gdy wytwornie odziana dama zwróciła się doń z zapytaniem:

— Jakie jest pańskie zdanie o zbrodniach, które poruszyły ostatnio całą naszą stolicę?

— Nie wiem o czym pani mówi madame? — rzekł z roztargnieniem, odprowadzając oczyma od dalającą się miss Goar. — O zbrodniach?... — Mój Boże, tyle się ich teraz popełnia...

Młoda dama nie zdążyła odpowiedzieć, gdy w hallu pojawił się lord Clifford. Był to piękny starzec o siwej wspaniałej czuprynie.

— Drogi markizie, powinien pan domyśleć się łatwo, — rzekł, wtrącając się do rozmowy. — Nasza przemiła przyjaciółka myśli prawdopodobnie o zdumiewających historiach, które opowiadają o Rafflesie: owym królu włamywaczy.

— Raffles?... — markiz uśmiechnął się — istotnie słyszałem o nim bardzo wiele! Czyż nie jest to ten sam tajemniczy osobnik, który popełnia najdziwniejsze kradzieże w domach prywatnych, oznajmiając uprzednio o swoim przyjsciu?

— Otóż to właśnie... opowiadają, że pochodzi on ze starej arystokratycznej rodziny angielskiej. Uchodzi za zaginione dziecko owej ongiś bardzo sławnej rodziny. Listy swoje podpisuje zawsze nazwiskiem John C. Raffles.

— Ten tajemniczy złoczyńca zachowuje się w sposób conajmniej dziwny! Chciałbym jednak wiedzieć, ile prawdy jest w tych wszystkich plotkach, być może, że jest to tylko dziełem przypadku, owo podpisywanie listów jednym nazwiskiem. Skąd pewność, że sprawca najrozmaitszych czynów jest jedną i tą samą osobą. Widzę w tym głód sensacji i talent reporterów, którzy sami stworzyli romans policyjny.

Lord Clifford potrząsnął głową, nie zgadzając się widocznie ze swym przedmówcą. Natomiast Mabel Morton, która nie spuszczała z Brazylijczyka oka odparła zaczepnie:

— Pańska hipoteza, wyjaśniająca wyczyny sławnego włamywacza, mogłaby istotnie uspokoić zatrzwożonych ludzi. Niestety, jest ona sprzeczna z rzeczywistością. W wypadkach powszechnie znanych, jak kradzież klejnotów u księcia Kensingtona oraz u lorda Montgomery, — listy oznajmiające o zamiarach sprawcy nadeszły zaledwie na parę godzin przed ich wykonaniem.

Lord Clifford miał zamiar odpowiedzieć, lecz spojrzawszy uważnie na dyskutujących zamilkł ostrożnie. Miał wrażenie, że poza ostrymi słowami sporu na całkiem obojętny temat kryje się jakaś intryga miłosna. Postanowił więc zostawić obydwójce samych, aby mogli porozumieć się swobodnie. Przeprósivszy gości, zniknął za drzwiami znajdującej się w pobliżu biblioteki. Zaledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy Mabel Morton, zbliżywszy się do markiza, szepnęła mu zduszonym głosem:

— Tym razem nie ujdiesz. Muszę wiedzieć jak sprawy stoją. Czy sądzisz, że nie widzę jak usilnie starasz się znaleźć zawsze w towarzystwie tej dzierlatki Florenc Goar? Nie zapominaj, że mam do ciebie prawa, i że będę ich broniła do ostatniego tchnienia! Raulu — błagała wyciągając do niego rękę —

Nie bądź okrutny i nie opuszczaj mnie! Nie mogę żyć bez ciebie!

Zatrzymała się. Twarz markiza znieruchomiła. Spozstrzegłszy, że mimo jej błagań pozostał zimny i głuchy, poczęła grozić.

— Nie dopuszczę do tego, abys kochał inną! Zemsta moja dosięgnie was oboje!

Błada jej twarz nabrała takiego wyrazu dzikiej nienawiści, że markiz cofnął się o krok. W tej chwili do hallu weszła lady Clifford ze swą córką Lilith i przyjaciółką jej, bogatą amerykanką Miss Ellen Graven. W mgnieniu oka hall napełnił się gośćmi. Lord Clifford skończył już pisanie listu w bibliotece i zjawił się w hallu razem z pułkownikiem Goar, wspartym na ramieniu sir Edwarda Toustona. Natychmiast za byłym wojskowym o jowialnej dobrodusznej twarzy, zjawił się lord Emmering wiodący miss Florence Goar.

## Zjawa karła

Po skończonym posiłku, goście podnieśli się od stołu i przeszli z powrotem do hallu.

— To dość niemiła historia — rzekł Clifford do sir Edwarda Toustona, częstując go cygarem. — Plotki o tajemniczym złodzieju niepokoją mnie trochę. Jak panu wiadomo, jestem pełnomocnikiem wszystkich właścicieli ziemskich naszego hrabstwa i w ich imieniu zawarłem bardzo ważną umowę z rządem w sprawie przekopu kanału. Jutro w domu moim nastąpi zapłata sumy za wywłaszczone tereny, sumy niemałej, bo wynoszącej około stu tysięcy funtów sterlingów. Gdyby chodziło tylko o mnie, wpłaciłbym je natychmiast do banku. Lecz mam tu do czynienia z całym szeregiem drobnych właścicieli, którzy nie mają zaufania do czeków, i im trzeba dać gotówkę. Dlatego też muszę trzymać pieniądze u siebie, co prawda w kasie ogniotrwałej. Ale wiem z doświadczenia, że przed zdolnym włamywaczem nie się nie ostoi i dlatego muszę przyznać, że jestem niespokojny.

— Ależ nie wierzy pan chyba w głupstwa, które opowiada się, milordzie — odparł sir Edward Touston, były oficer marynarki. — Niech pan uzbroi służbę w rewolwery, spuści na noc psy. Wreszcie jeśli to nie wystarcza, niech pan zawezwie kilku detektywów z Londynu, dla strzeżenia kasy.

Lord Clifford wstrząsnął głową. Argumenty te nie zyciężyły go bynajmniej. W tej chwili zbliżył się do nich pułkownik Goar, zapytując co było tematem ich tak żywo prowadzonej rozmowy.

— Mówiliśmy o sławnym złodzieju, o którym opowiadają cuda — odparł lord Clifford, dzieliliem się z sirem Edwardem memi obawami, spowodowanymi koniecznością przechowywania w domu wielkiej sumy pieniędzy.

— Wielkiej sumy pieniędzy? — powtórzył pułkownik Goar i oczy jego zabłyśły pożądliwie.

— Tak — rzekł lord Clifford — około stu tysięcy funtów.

— Sto tysięcy funtów? — powtórzył mimowoli pułkownik. Siwe jego wąsy najeżyły się ze wzruszenia.

Dyskusja na temat Rafflesa stała się po chwili ogólną. Śmiano się trochę z obaw starego lorda. Zwłaszcza z całego serca śmiała się Lilith, czarująca brunetka, której uroda mogła skutecznie walczyć o palnę pierwszeństwa z wdzięczną miss Florence Goar.

— Mam wrazenie, śmiała się Lilith, — że okazał się on dość szarmancki, aby mnie nie ukraść.

— O, niezawodnie — rzekł markiz di San Balbo, który dotychczas przysłuchiwał się w milczeniu rozmowie owych pięknych dziewcząt. — Gentleman, który podobno pochodzi z jednej z najstarszych arystokratycznych rodzin starej Anglii, musi się zachować elegancko wobec kobiet.

— O — zawołała Lilith — moglibyśmy się łatwo o tym przekonać. Markiz obiecał nam wczoraj urządzić mały seans spirytystyczny. Nic łatwiejszego niż wywołać ducha tego sławnego złooczyńcy.

— Ależ to niemożliwe — szepnęła malutka miss Elen Graven — my w Ameryce często wywoływaliśmy duchy, ale nie udało nam się nigdy rozmawiać z duchem człowieka żyjącego. Musiałby koniecznie nie żyć.

— Nic łatwiejszego! — odparł sir Edward Touston — zabijemy najpierw Rafflesa, potem zaś zapytamy go o to.

— Sądzę, że możemy w tej sprawie zwrócić się do markiza — rzekła Mabel Morton — Jeśli on zechce, potrafi zmusić do rozmowy owego filuta. Czyż nieprawda, panie di San Balbo?

Brazylijczyk zastanowił się przez chwilę, poczem skinąwszy twierdząco głową, odparł nie spoglądając na swych słuchaczy:

— Dla dokonania tego eksperymentu poproszę szanownych zgromadzonych, aby przeszli do apartamentów, znajdujących się na wyższym piętrze. Jest tam bowiem salon cały wybity złotym jedwabiem z prześlicznym widokiem na staw. Niech się państwu nie zdaje, że duchy mogą przebywać chętnie w każdym pokoju. Trzeba wybrać w tym celu pokój o specjalnie harmonijnych wymiarach. Ponadto powinien on możliwie tłumić wszelkie głośne dźwięki, ponieważ świat duchów nie lubi objawiać się w zbyt hałaśliwej formie. Jednym słowem wszystko musi się odbyć w najwiękzej ciszy i skupieniu. Jeśli nasz miły gospodarz nie ma nic przeciwko temu, możemy udać się natychmiast do tego pokoju.

Uroczyste wzruszenie ogarnęło obecnych. Wie-dza tajemna miała wówczas wielu adherentów w Anglii i z pewnością nie znalazł się nikt w tym towarzystwie, ktoby kategorycznie wykluczył wszelką możliwość komunikowania się z duchami.

Służący wynieśli szybko z złotego salonu wszystkie meble, zostawiając tylko dla widzów parę foteli oraz stół nakryty czarnym aksamitem w środku. Przy stole na tym wysokim taburecie, podwyższonym jeszcze kilkoma poduszkami, usiadł markiz di San Balbo. Pałac oświetlony był elektrycznością, do starczaną przez wielkie dynamo, którego głuchy szum dochodził poprzez grube mury aż z piwnicy.

Prócz jednego, zgaszono wszelkie światła.

W sali panowała zupełna cisza. Zgromadzeni goście, należący do najwyższych sfer angielskich z powagą, która graniczyła z komizmem oczekiwali na zdarzenia, mające nastąpić. Mały stół, przykryty czarnym aksamitem, począł nagle pod dłońmi markiza podnosić się na wysokość około jednej stopy, poczem kołyszącym się ruchem przesunął się półkolisto dokoła Brazylijczyka.

W tej samej chwili dały się słyszeć głosy zawo-dzące ponurą pieśń. Trwało to około minuty. Poczem nagle hałas ustał i stół wrócił do swej pierwotnej pozycji. Markiz podniósł się i skierował w stronę zewnętrznej ściany pokoju. Wyciągnął z kieszeni malutką paczkę i w odległości dwóch metrów od muru rozsypał na podłodze biały proszek. Stanąwszy



z boku zapalił proszek. Ogień począł się szerzyć z błyskawiczną szybkością. Brazylijczyk cofnął się gwałtownie, zakrywając twarz dłońmi w obawie przed iskrami. Lekka detonacja, która powstała przy tym, przeraziła silnie damy. Zanim jednak zdążyły ochłonąć z przerażenia, różowy dym o silnym i ogłuszającym zapachu utworzył się tuż przed samą ścianą, zasłaniając ją kompletnie przed oczyma patrzących.

Z tego obłoku, który stopniowo rozchodził się wynurzył się osobnik, mierzący zaledwie metr wysokości. Był to karzeł niekształtny i garbaty o olbrzymiej głowie i odrażającym wyglądzie. Karzeł obrzucił chytrym i ciekawym wzrokiem zgromadzonych, spojrzął w stronę Brazylijczyka i zasłonił się jakby przed ciosem.

Istotnie markiz trzymał w ręce mały bicz i groził nim karłowi.

— O, cóż za okropne stworzenie! — szepnęła piękna Lilith — jakież on brudny!

Przyjaciółka jej, do której skierowane były te słowa nie odpowiedziała. Znieruchomiała z przerażenia na widok pożądlivego spojrzenia, którym obejmował ją w tej chwili pułkownik Goar.

Donośnie zabrzmiał głos wywoływacza duchów. Głos ten ostry i rozkazujący różnił się nieprawdopodobnie od tonu, którym zwykle przemawiał markiz. Było coś demonicznego w krótkich i ostrych słowach, które przerwały milczenie:

— Powiedz kim jesteś!

Karzeł kręcił się i wił jak robak. Jakkolwiek markiz kilkakrotnie powtórzył pytanie, nie dawał odpowiedzi. Dopiero gdy medium podniosło swój bicz wyszeptał kilka nieartykułowanych słów, z których można się było domyśleć, że nazywa się Jim Gocky i że chciałby sobie stąd pójść.

— Zostaniesz! — rozkazał markiz — **Powiedz nam wszystko, co wiesz o Rafflesie, zwanym również Tajemniczym Nieznajomym.**

Karzeł wykręcał się jak mógł, wreszcie rzekł:

— On jest tam... On jest tam... i już poszedł! Gdy przybył zabrzmiały wszystkie dzwonki... **Przychodzi tam gdzie są pieniądze lub klejnoty... odbiera je bogatym i oddaje biednym.**

Nie dając się zbić z tropu stłumionym okrzykiem zdumienia, markiz ciągnął dalej z niezmaconym spokojem:

— Czy mógłbyś nam powiedzieć, Jimie Gocky, dokąd następnym razem skieruje swe kroki Raffles?

Karzeł zawahał się znowu i bardziej niż poprzednio zdawał się ociągać z odpowiedzią. Jednym skokiem markiz znalazł się obok niego. Bicz zaświstał w powietrzu nad jego głową.

— **Przyjdźcie tutaj!** — krzyknął — **przyjdźcie tutaj!**

Lord Clifford wstał, zbliżył się do markiza di San Balbo i rzekł niepewnym głosem:

— Proszę zapytać, czego on tu szuka?

Ale z karła nie można było wydobyć żadnej odpowiedzi. Przykucnął na podłodze i spoglądał z podejłą na obecnych. Markiz wzruszył ramionami, wyjął z kieszeni pudełko i, jak poprzednio, wysypał proszek wzdłuż zewnętrznej ściany i przed karłem.

Zapalił zapałkę: różowawy, pachnący obłok wznosił się aż do sufitu. Gdy mgła zniknęła — z karła nie zostało ani śladu.

Prąd zimnego powietrza przeniknął salon.

— W jaki sposób zrobiło się tu nagle tak zimno? — zapytał sir Touston zdziwiony. — **Przecież drzwi i okna są pozamykane?**

Wszyscy skupili się dokoła markiza, prosząc o wyjaśnienie tych niezrozumiałych zjawisk. Markiz jednak z tajemniczym uśmiechem na ustach nie dawał odpowiedzi.

Gdy goście zeszli do hallu, markiz poprosił gospodarza o auto. Tegoż bowiem wieczora miał w Londynie zebranie swego klubu.

Wraz z nim opuścił pałac jego młody przyjaciel mister Rudge Fitzgerald.

## Spelunka pod „Czarnym Koniem“

Tegoż dnia nad wieczorem Londyn odwiedził przykry a częsty gość, zwany przez londyńczyków „thick fog“: **gęsta mgła londyńska.** Ludzie posuwali się jak w ciemnych tunelach. Biada temu, kto stracił orientację i raz zбочzył ze swej drogi. Czemprejdzaj musiał szukać pomocy u małych chłopców, którzy uzbrojeni w latarki sprowadzali zbłąkanych przechodniów na właściwą drogę.

Jakkolwiek wydaje się to nieprawdopodobne — trudno jest w tej lepkiej i cuchnącej mgle odróżnić przedmioty, znajdujące się w odległości choćby trzech kroków.

Mimo wszelkich przedsięwziętych środków ostrożności — szpalty dzienników wypełniają się wzmiankami o licznych wypadkach. Listy rannych i zmarłych przejmują zgrozą czytelników.

Lecz nietylko nieszczęśliwy przypadek zbiera wówczas w Londynie obfite żniwo: pod ochroną ciemności wpełza odważniej wróg stokroć groźniejszy — zbrodnia!

W mieście tym istnieje dzielnica, ciągnąca się jak olbrzymi wąż: jest to Whitechapel.

Tam kryje się grzech i nędza. Człowiek ubrany, dostatnio jest tam rzadkością.

W miejscu gdzie Whitechapel Road kończy się, a zaczyna Mile End, Sidney Street skręca w prawą stronę. Tam właśnie w słabym świetle latarni stał człowiek odziany w czarny fałdzisty płaszcz.

Zegar na wieży wybił godzinę dwunastą.

Po upływie kilku chwil, człowiek ten począł iść Sidney Street i zatrzymał się znowu na rogu. Jakkolwiek wydawał się pogrążony w zadumie — spostrzegł, że jakiś cień posuwa się ku niemu.

Nagle uczuł, że ktoś chwycił go mocno z dwóch stron. Nieznajomy nie bronił się, nie raczył nawet poruszyć się. Usta jego wyszeptały tylko jedno jedyne słowo:

— Proszę nam wybaczyć, milordzie, to wina mgły... — szepnęli napastnicy.

Znikli w ciemnościach tak cicho jak się zjawili.

Przeszedł przestrzeń około dwudziestu kroków i zatrzymał się przed spelunką nad którą paliła się latarnia. Nie wszedł jednak. Po chwili ruszył dalej. Pochłonęły go mgła i ciemności.

Wewnątrz spelunki, znanej dobrane całemu światu podziemnemu jako restauracja „Pod Czarnym Koniem“, panował gwar i ruch. W dużej sali, pełnej ludzi, czarno było od dymu i mgła wdzierła się do środka przez niedomykające się drzwi i okna. Umalowane jaskrawo i nędznie ubrane dziewczęta piły ze swymi amantami, z których żaden nie zarabiał na życie w sposób uczciwy. Wewnątrz sali na małej estradzie Murzyn z Murzynką tańczyli i

**P**iewali ordynarne piosenki. Obok estrady przy drugim stole zgromadzili się zwolennicy hazardu. Między tymi nie brak było ludzi, których jedynie namiętność do gry ściągnęła do tej spelunki. Do nich należeli niewątpliwie rudzi Irlandczycy, którzy wespół przytomni od whisky, martwym wzrokiem spoglądali na topniejącą coraz bardziej kupkę szylingów. Ciężko zarobione ich pieniądze znikły systematycznie w kieszeniach partnerów. Jeden z nich jednak oprzytomniał nagle. Być może zauważył on oszukańczy manewr swego bankiera, grającego z nieznaczącym szczęściem. Przechyliwszy się nad stołem, Irlandczyk wyciągnął rękę w kierunku banku, aby odebrać zagrabione mu niesłusznie pieniądze. Bankier jednak, olbrzym o byczym karku i twarzy poranej bliznami, szybkim ruchem wyciągnął nóż i przybił do stołu rękę Irlandczyka. Człowiek zawył z bólu. Towarzysze jego rzucili się z pomocą, starając się oswobodzić przebitą dłoń. Powstał tumult... W rezultacie wszyscy Irlandczycy wraz z rannym, który zemdłał wskutek upływu krwi, zostali wyrzuceni za drzwi. Nagle dał się słyszeć srebrzysty głos małego dzwonka. Zrobiło się cicho jak w kościele.

— To on! To on! — szeptało półgłosem dokoła.

Oberżysta stojący za okratowanym kontuarem opuścił swe miejsce i wyszedł tylnymi drzwiami. Wrócił po krótkiej chwili, wołając potężnym głosem:

— Czerwony Bill i Lisia Głowa do mnie!

Dwaj osobnicy, z których jeden istotnie podobny był do zwierzęcia, któremu zawdzięczał swój przydomek, skierowali się w milczeniu ku małym drzwiom. Otworzył je przed nimi oberżysta i gdy znikli, zamknął starannie.

## On

Obydwaj mężczyźni byli to ludzie o atletycznej budowie ciała. Małymi, krętymi schodami zeszli na dół. Minęli ciemny korytarz, poczem znów wspięli się schodami na górę. Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami, za którymi zniknął oberżysta. Gdy następnie drzwi te otworzyły się przed nimi, znaleźli się nagle w pokoju urządzonej z niesłychanym przepychem, i przedzielonej na dwie części ciężką portierą z czerwonego aksamitu. Lisia Głowa i Czerwony Bill z lekkiem i respektem zatrzymali się przed tajemniczą portierą. Srebrny dzwoneczek zadźwięczał po raz wtóry. Obydwaj ludzie wstrzymali oddech: Był więc blisko! Za chwilę oznajmi im swe rozkazy. Wiedzieli dokładnie, że obowiązkiem ich było słuchać ślepo i że śmierć groziła im w wypadku, gdyby postąpili wbrew rozkazowi. Lecz ta ewentualność nie przychodziła im nawet na myśl. Tak jak wszyscy ich towarzysze uwielbiali oni gorąco i bałwochwalczo ową tajemniczą istotę, której nikt w życiu nie oglądał, a która potrafiła jednak zdobyć sobie nad ich twardymi sercami władzę nieograniczoną. Nie cofnęliby się przed nikim, aby Mu służyć, gdyż w razie potrzeby byłby szkodny i szlachetny. Jeśli jeden z członków bandy znajdował się w trudnej sytuacji Tajemniczy Nieznajomy potrafił zawsze mu przyjść z pomocą. Najlepsi adwokaci obejmowali obronę, gdy dosięgała ich ręka sprawiedliwości. Tego rodzaju myśli kłębiły się w głowach dwóch zbirów, podczas gdy w powietrzu drżał jeszcze srebrzysty głos dzwonka. Po trzecim uderzeniu dał się słyszeć za kurtyn jasny i dźwięczny głos męski.

— Wezwałem was po to, abyście jeszcze dzisiejszej nocy udali się do Kilburn. Musicie odszukać dokument, którego odnalezienie nastarczy wam z pewnością wiele trudności. Mówię wam szczerze, możecie wrócić żywi jedynie w tym wypadku, gdy dokument ten będzie w waszych rękach. Za chwilę otrzymacie plan sytuacyjny domu, w którym dokument jest ukryty oraz wszystko to, czego wam będzie potrzeba.

Po tych słowach światło za kurtyną zgasło i ciemności ogarnęły obydwóch złoczyńców. Natychmiast jednak rozbłysło ono z jeszcze większą siłą i nagle ujrzeli przed sobą małego niekształtnego człowieka, wzrostu dziesięcioletniego dziecka o ogromnej głowie i o odrażających rysach. Był to ten sam karzeł, który ukazał się tego wieczora na zamku lorda Clifforda i którego markiz di San Balbo zapypywał o Tajemniczego Złoczyńcę. Mały potworek wręczył Lisiej Głowie czarną kopertę ze złotym monogramem J. F. Następnie podbiegł do drzwi, otworzył je i z groteskowym gestem ukłonił się obu mężczyznom.

Obaj przyjaciele nie śmieli przez dłuższą chwilę otworzyć ust. Przed drzwiami czekał na nich oberżysta, aby ich przeprowadzić z powrotem do sali. Wiódł ich inną drogą i napróżno Lisia Głowa i Czerwony Bill starali się zanotować ją sobie w pamięci. Gdy znaleźli się już w oberży pod „Czarnym Koniem“ schronili się do kąta i tam Lisia Głowa, będący z pochodzenia Belgiem, zabrał się do odczytania listu.

Znalazł w nim następujące słowa:

**Kilburn. Gloucester Street 3. Pułkownik Goar. Zły pies. Przejsz podwórzem i przez kuchenne okno. Uśpić chloroformem. Służba ubrojona. Gabinet znajduje się na parterze po prawej ręce. Dokument — w ukrytej skrytce biurka. Przynieść mi go natychmiast.**

**John C. Raffles.**

Obydwaj przestępcy, nie wahając się ani przez chwilę, zabrali się natychmiast do wykonania rozkazu.

## Skradzione miliony

W zamku lorda Clifforda pokpiwano sobie zlepką na temat tajemniczego zjawienia się małego karzełka. Wszyscy dopatrywali się w tym zręcznej mistyfikacji, urządzonej dla żartu przez markiza di San Balbo. Mimo wszystko lord Clifford uznał za stosowne mieć się na baczności. Skomunikował się ze słynnym biurem i wezwał detektywa znanego ze swej zręczności. Z uprzejmością właściwą arystokracji angielskiej, mister James Holliday, detektyw, został przedstawiony wszystkim gościom. Była to godzina podwieczorku i panie w jasnych strojach zgromadziły się w hallu. Brakło jedynie miss Florenc Goar oraz jej wuja — pułkownika. Markiz di San Balbo rozmawiał z zainteresowaniem z detektywem, który opowiadał mu o swych niezwykłych wyczynach i sukcesach.

— Od dłuższego czasu — chwalił się — jestem na tropie Tajemniczego Nieznajomego. Proszę mi wierzyć, markizie, że ten słynny złoczyńca jest zwykłym sobie początkującym dyletantem. Oznajmia z góry o swych zamiarach. Ponadto zostawia wszędzie przedmioty, których prawdziwy przestępca nie zo-

stawiliby nigdy po sobie: myślę o jego listach, pisanych jego ręką. Jego czarne listy przeszły już prawie do legendy. Moim zdaniem z całą łatwością uda mi się zdemaskować tak niesłychanie nieostrożnego przestępcę...

— O ile mi wiadomo — odparł Brazylijczyk z uśmiechem — osobnik ten rozwija bezkarnie swą przestępczą działalność już przeszło od roku. Wydaje mi się, mister Holliday, że przez ten czas pan lub któryś z pańskich kolegów mogliście zdążyć zaarrestować Tajemniczego Nieznajomego.

Detektyw zaśmiał się sucho:

— Pan ma najzupełniejszą rację. Ale trudno jest niesłychanie przeniknąć do domostw parów angielskich. Jest rzeczą charakterystyczną, że człowiek ten wybiera zawsze przyjęcia, bale lub polowania za tło swych występów.

— Ale tym razem pańskie życzenia się spełniły — rzekł markiz di San Balbo — Nasz przemiły gospodarz, lord Clifford celem zachowania pewnych ostrożności, zaprosił pana do siebie... Mam nadzieję, że jeśli złodziej się pojawi zrobi nam pan przyjemność zaarrestowania go w naszej obecności.

Brazylijczyk zamilkł na chwilę, wreszcie z głośnym śmiechem dodał:

— Jak panu prawdopodobnie wiadomo, ów dziwny osobnik zapowiedział nam swoje przybycie za pośrednictwem duchów. Miałem zaszczyt wczoraj dać małe przedstawienie spirytystyczne, w czasie którego karzełek Jimm Gocky zapowiedział nam na noc dozisiejszą przybycie owego wirtuoza złodziejskiego.

— Jeśli chodzi o mnie, — odparł detektyw — nie wierzę ani słowa w te blagi. Przypomniał sobie jednak, że autor tych blag stał przed nim. Dorzucił więc wyjaśniającym tonem:

— To znaczy tyle, że wedle mnie chodziło tu przede wszystkim o udaną rozrywkę towarzyską.

— Istotnie — przyznał markiz.

Rozmawiając i spacerując jednocześnie doszli do biblioteki, oddzielonej od wielkiej sali ciężką portierą. Markiz przeprosił detektywa i niespostrzeżony przez nikogo wszedł do biblioteki.

Markiz wiedział, że biblioteka posiada drzwi, prowadzące na korytarz, łączący się z wyższym piętrem. Z kocią zręcznością tłumiąc odgłos kroków, markiz przeslizgnął się aż do pokoju zajmowanego przez miss Florence Goar. Wczoraj dowiedział się wielu rzeczy o ohydny postępowaniu starego pułkownika. Postanowił za wszelką cenę unieszkodliwić tego satyra i wyswobodzić biedną dziewczynę z jego rąk.

Z początku nic nie słyszał. Po chwili jednak posłyszał odgłos westchnienia i jęków dziewczyny, którym odpowiadał pełen gróźb głos starego pułkownika. Nagle wewnątrz rozległ się okrzyk strachu. Markiz gwałtownie otworzył drzwi i wszedł do pokoju: Pułkownik ze zranioną ręką stał przy stole. Miss Florence blada i z włosami w nieładzie, z oczyma pełnymi strachu opierała się plecami o szafę. Tylko dwa kroki dzieliły ją od jej rzekomego opiekuna.

— Czego pan tu chce? — spytał pułkownik ostro.

— Proszę mi wybaczyć. Usłyszałem krzyk kochanek i sądziłem, że mogę być w czymkolwiek pomocny.

— Nikt nie potrzebuje tu pańskiej pomocy i pańska obecność wydaje mi się całkiem zbędna — rzekł unosząc się pułkownik. — Nie rozumiem zresztą, jak miał pan czelność wejść bez pukania do cudzego pokoju?

W tej chwili markiz ujrzał na ziemi u stóp młodej dziewczyny sztylet o hebanowej ręczce. Zrozumiał scenę jaka się tu odegrała. Pułkownik ponowił prawdopodobnie swe bezwstydną propozycję wobec odmowy, postanowił opór jej złamać siłą. Dziewczyna, doprowadzona do ostateczności, zrobiła użytek z broni, którą stale nosiła przy sobie. Stała rana na ręce pułkownika. Wzruszenie i strach dziewczyny, jej obronna pozycja, tłumaczyły resztę.

Markiz, opanowany i wytworny, zamienił z miss Florence porozumiewawcze spojrzenie i rzekł:

— Wszyscy zebrali się już na dole i dopytują się o pana pułkownika. Zechce pan przyjąć ode mnie dobrą radę i nie wzbudzać podejrzeń swoją zbyt długą nieobecnością.

Pułkownik miał zamiar odpowiedzieć, lecz spokojna twarz i ostre spojrzenie czarnych oczu markiza obezwładniły zupełnie dawnego żołnierza.

— Mój wuj i ja prosimy, aby zechciał nam pan wybaczyć naszą nieobecność — rzekła miss Florence — Za chwilę zejdziemy.

Gdy w dziesięć minut później markiz rozmawiał spokojnie z panem domu, do sali weszła miss Florence z pułkownikiem Goar, na którego ręce widniał szeroki plaster. Uśmiechnął się do siebie. W duszy pełen był podziwu dla ukochanej istoty, która z bronią w ręce potrafiła walczyć o swój honor. Część towarzystwa przeniosła się po skończonym posiłku do palarni. Pułkownik Goar, został i argusowym okiem wodził za swą bratanicą. Markiz nie mógł znaleźć okazji, aby zbliżyć się do dziewczyny. Wśród towarzystwa, które pozostało w hallu, rej wodził detektyw James Holliday, opowiadający damom niestworzone historie, w których występował stale w roli bohatera i zbawcy. Rudge Fitzgerald usiłował od czasu do czasu uszczypliwym słówkiem poskromić samochwalstwo detektywa, lecz ten nie dawał się zbić z tropu. Markiz usiadł w fotelu i z rozrągnięciem przeglądał album z widokami Szkocji, gdy nagle usłyszał wymówione tuż obok niego jego imię.

— Raulu — był to głos pani Morton — jak długo każesz mi to znosić? Nic mnie nie powstrzyma, rzucę chętnie swe stanowisko z takim trudem osiągnięte. Nie chcę nic. Wystarczy, abym tylko miała ciebie. Musisz mi wreszcie dać odpowiedź, albo...

Nie skończyła groźby. Gwałtowne wzruszenie nie pozwoliło jej mówić dalej.

— Czego pani chce? — odparł markiz nie odrywając oczu od widoków Szkocji.

Mała brunetka, pochyliwszy się nad ilustracjami drżała silnie. W pewnej chwili ogarnęło go coś w rodzaju litości. Opanował się jednak, rzuciwszy okiem w drugi koniec sali, gdzie siedziały obok siebie Florence Goar i Lilith Clifford, obie piękne w swych wieczorowych toaletach. Z zimnym uśmiechem na nieruchomej twarzy wyszeptał:

— Proszę czynić, co się pani podoba. Życzę tylko, aby znalazła pani naiwnych, którzy uwierzą w pani bajeczki i plotki.

Wstał i skłoniwszy się zimno siedzącej kobiecie, skierował się prosto do dziewcząt.

Okolo godziny dziesiątej pułkownik Goar dał pierwszy hasło do rozejścia się. Miss Florence na surowy wzrok stryja z niechęcią zabierała się do wyjścia. Odchodząc, musiała przejść obok markiza, który zdążył szepnąć jej przejmującym głosem:

— Proszę się nie obawiać. Ja czuwam.

Część towarzystwa poszła za ich przykładem. Pozostali zaś, między którymi znalazł się i markiz di

San Balbo, przeszli do palarni. Lord Clifford i detektyw zostali sami w wielkiej sali.

— Mam nadzieję, że wszystko jest przemyślane, rzekł lord — Czy przygotował się pan, mister Holliday na wszelkie ewentualności?

— Oczywiście, milordzie, moi dwaj agenci powinni tu się zjawić lada chwila. Dał się słyszeć dźwięk dzwonka. Wszedł służący i oznajmił, że jacyś dwaj panowie pragną widzieć się z panem Hollidayem.

— To oni — odparł detektyw, promieniejąc z zadowolenia.

W tej samej chwili lokaj wprowadził do sali dwóch ludzi, robiących wrażenie żołnierzy armii kolonialnej. Opaleni i chudzi, jak szkielety, z oczyma wpadniętymi, wyglądali na gorących zwolenników alkoholu. Widocznym było nawet, że tegoż wieczoru zażyć musieli podwójną ilość whisky i grogu.

Lord Clifford kazał im dać jeść w służbowej jadalni.

— Czy chce pan sam podjąć się strzeżenia mego gabinetu? — zapytał Hallidaya.

— Oczywiście, milordzie — Spędzę tam noc. Jednego z mych ludzi postawię w bibliotece, drugiego w westybulu. Ktoś kto będzie chciał zjawić się w bibliotece przejdzie tam chyba po ich trupie. Trzeboby chyba było być zjawą z tamtego świata, aby przefrunąć oknem i przeniknąć do gabinetu... Tam natomiast duch miałby jeszcze do czynienia ze mną. Ze mną zaś, milordzie, nie jest sprawa łatwa — Proszę przyjrzyć mi się i osądzić, czy taki złotodziub, początkujący włamywacz i dyletant mógłby sobie dać ze mną radę?

Lord Clifford, niezbyt przekonany o prawdziwości jego słów, pożegnał detektywa i przeszedł do gości. Holliday natomiast wszedł do biblioteki, aby stamtąd udać się do gabinetu, w którym znajdowała się kasa, zawierająca olbrzymią sumę.

Detektyw przysunął fotel do ognia. Rozsiadł się w nim wygodnie, umieścił nogi na podnóżku i przygotował do czuwania. Ukołysany wspaniałymi perspektywami swej przyszłej sławy, z trudem rozróżniał głosy biesiadników. Ostatni goście, grający w piketę, rozeszli się wkrótce i cisza zapanowała w zamku.

## Czarna Maską

Długi korytarz, na który wychodziły drzwi pokoju oświetlony był słabo małą lampką. Cały dom wydawał się pogrążony we śnie. Nagle jakaś wysoka czarna sylwetka zarysowała się na tle korytarza. Zatrzymała się przed drzwiami, prowadzącymi do apartamentów lorda Clifforda. Tajemniczy osobnik odziany był w czarny przylegający ściśle do ciała trykot, na głowie miał coś w rodzaju kaptura z czarnego aksamitu. Przez niewielkie otwory błyszczały niesamowicie dziwne oczy. Upewniwszy się, że drzwi nie były zamknięte na klucz, niesamowity gość zniknął w środku. Po paru chwilach wyszedł, niosąc pęk kluczy, które lord Clifford, udając się na spacer, położył na nocnym stoliku obok rewolweru. Czarno odziany mężczyzna zgasił małą lampkę, palącą się na korytarzu. Jak cień zsunął się po schodach do pokoju, znajdującego się na parterze. Musiał on słyszeć niewątpliwie jak detektyw tłumaczył lordowi, że postawi jednego z policjantów w bibliotece, drugiego zaś w hallu, podczas gdy sam miał

roztoczyć pieczę nad gabinetem lorda i cennym skarbem.

Najbardziej wyczulone ucho nie zdołałoby pochwycić odgłosu kroków skradającego się człowieka. Poczciwy wywiadowca, rozsiadłszy się wygodnie w szerokim fotelu, spał snem niewinnego. Nie było potrzeby krępować się jego obecnością. Czarna postać zbliżyła się tak odważnie do śpiącego, że detektyw z łatwością mógłby chwycić go ręką. Usta jego otwarły się lekko i dało się słyszeć głośne przeciągłe chrapanie. Drzwi, prowadzące z pokoju do biblioteki, zamknięte były tylko zasuwką. Czarna postać otworzyła je ostrożnie. Drugi agent Hollidaya również znajdował się w objęciu Morfeusza. W kilka chwil później naskutek odpowiedniej dozy chloroformu spał już snem tak mocnym, że osoba jego w żadnym razie nie mogła być brana w rachubę.

— Czyżby i nasz dzielny Holliday spał również snem sprawiedliwych? — pomyślał wówczas śmiały intruz. Mimo to nie zaniedbał żadnych ostrożności. Wyciągnął z kieszeni kawałek czarnej materii i dopiero poprzez ten materiał ujął za kłamekę. Nacisnął ją delikatnie, jednym skokiem wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Usłyszał, jak detektyw skończył ze swego fotelu.

— Cisza, mister Holliday, to ja, lord Clifford — rzekł stłumionym głosem. Nie trzeba zapalać światła, usłyszałem jakiś niezwykły hałas i dlatego przyszedłem... Nie, niech pan nie zapala, — dodał widząc że detektyw szuka w swej kieszeni latarki. Całkowicie uspokojony, ponieważ głos do złudzenia przypominał głos lorda, detektyw zbliżył się do czarnej sylwetki. Nagle z ust jego wyrwał się stłumiony okrzyk. Uczuł, że na głowę jego spada kawał grubej czarnej materii. W tej samej chwili jakaś potężna dłoń rzuciła go na ziemię.

— Bez krzyku, jeśli ci życie miłe, — rzekł głos na którego dźwięk biednemu policjantowi ścierpła skóra. Detektyw uczuł, że na głowę nałożono mu nadto miękką puchową poduszkę. Pozbawiony całkowicie możliwości ruchu nie mógł nawet krzyczeć, ponieważ głos jego byłby całkowicie zduszony przez czarną materię oraz przez poduszkę.

Mister Holliday, który kochał swe życie więcej nawet niż każdy przeciętny śmiertelnik, nie odważył się nawet dać znaku życia. Czuł zimne ostrze sztyletu, który przytknięto do jego piersi. Wiedział, że przeciwnik, nie wahałby się ani przez chwilę pograżyć sztylet ten po samą rękojęść w jego piersi. Nagle wydało się detektywowi, że w pokoju zapalono światło. Usłyszał dźwięk kluczy i pomyślał, że nieznajomy, w którym odgadł sławnego włamywacza Rafflesa zajął się otwieraniem kasy. Wszystko to stało się z wielką szybkością.

— Jeżeli wezwiesz pomocy przed upływem godziny nastąpi nieszczęście — rzekł ten sam głos. Dopiero więc po upływie godziny mister Holliday odważył się powziąć decyzję. W duszy jego toczyła się walka pomiędzy poczuciem obowiązku a tchórzostwem: zwyciężyło to ostatnie. Nie ulegało kwestii, że złoczyńców było wielu i że musiał ustąpić przed liczną przewagą wrogów. Pozycja jego stawała się coraz nieznowniejsza. Oddychał z coraz to większym trudem. Obawa przed uduszeniem się dodała mu siły. Przewrócił się na wznak i począł wydawać początkowo głuche i nieartykułowane dźwięki, które stopniowo przerodziły się w zwierzęcy ryk. Ryk ten zbudził wszystkich mieszkańców pałacu. Usłyszał nad sobą kroki i po przez ciemną zasłonę ujrzał zapalone światło. Po chwili był już

na wolności. Przed nim stał sir Edward Touston, Fitzgerald oraz domownicy. Wkrótce potem przyszedł Lord Clifford zaleźniony i niespokojny. W sąsiednim pokoju dwaj służący napróżno usiłowali zbudzić policjantów. Silny zapach eteru, napełniającego salę oraz bibliotekę — wskazywał na to, że złoczyńca najprzód rozprawił się z dwoma policjantami.

— Dzięki Bogu,—rzekł lord Clifford, — pańskie krzyki i nasza interwencja musiały spłoszyć złodzieja i przeskodziły mu w zabranii łupu.

Detektyw rzucił przerażone spojrzenie w kierunku kasy ogniotrwałej, wyglądającej przynajmniej z zewnątrz na nietkniętą. W nadziei, że mógł się mylić przed chwilą, słysząc dźwięk kluczy — Holliday zamilkł dyplomatycznie. Dopiero sir Edward zwrócił uwagę na to, że złoczyńcy mogli z łatwością otworzyć kasę a potem zamknąć ją z powrotem. Chcąc się o tym przekonać lord posłał służącego do swej sypialni po klucze. Drżącą ręką otworzył kasę: mimo swego dobrego wychowania i umiejętności panowania nad wzruszeniami, lord zaklął wulgarnie. Ze skarbu, strzeżonego w jego przekonaniu najlepiej i najstaranniej, nie zostało ani centyma.

— Trzeba mi było pilnować skarbu samemu! — rzekł zdoławszy się opanować — Zwrócił się do gości, którzy prawie w komplecie stawili się wśród nocy i rzekł:

— Przykro mi niezmiernie, żeście państwo pozbawieni zostali zasłużonego wypoczynku nocnego. Miejmy nadzieję, że uda się odnaleźć złoczyńcę i odebrać skradzione pieniądze.

Jeden z mężczyzn zbliżył się do okna i odsunął roletę. Na niebie świecił jasny księżyc. W tej chwili rozległ się dźwięk dzwonka u bramy parkowej.

Na wszystkich twarzach odmalowało się przerażenie. Dwaj służący wyszli aby zobaczyć co się stało. Wrócili natychmiast, niosąc telegram zaadresowany do pułkownika Goara, nadany zaś przez posterunek policji w Kilburn. Drżącą ręką pułkownik otworzył telegram i przeczytał:

**Tej nocy złodzieje splądrowali pańską wille. Służbę związane i uspieno. Na ślad złoczyńców jeszcześmy nie natrafili.**

## Sfałszowany testament

Po otrzymaniu tej wiadomości pułkownik Goar chciał natychmiast pojechać do Kilburn. Niechętnie uległ namowie lorda Clifforda, który prosił go, aby zaczekał przynajmniej do świtu. Mgła bowiem panowała wówczas w Anglii i nocą całkowicie uniemożliwiała ruch na szosie. Jednak już o godzinie szóstej rano były pułkownik siedział w dużej sali i naganiał służbę do pośpiechu. On sam nie chciał nic jeść, ale bratanka jego oświadczyła kategorycznie, że nie wyjedzie przed śniadaniem. Mimo, że patrzył na nią niecierpliwie, miss Florence piła swą czekoladę małymi łykami, trzymając wzrok uparcie utkwiony w drzwiach, jakgdyby oczekując czyjś przyjscia. Markiz jednak nie zjawiał się i z głębokim westchnieniem piękna panienska zdecydowała się wreszcie wstać od stołu. Nagle w drzwiach dał się słyszeć hałas zmieszanych głosów: Był to miejscowy komisarz policji z dwoma żandarmami. Lord Clifford natychmiast po kradzieży, nie czekając nawet świtu, zawiadomił żandarmerię. Nie było nic dziwnego, że

biorąc pod uwagę stanowisko lorda oraz szacunek jakim się cieszył powszechnie, komisarz przybył natychmiast na miejsce przestępstwa. Widząc pułkownika gotowego do drogi, komisarz przywitał go grzecznie i rzekł:

— Żałuję bardzo, że nie mogę pozwolić panu na opuszczenie zamku, zanim nie ukończę pierwiastkowego dochodzenia. Zbytecznym chyba dodać, że czynię to z prostej ostrożności, i że nie żywię w stosunku do nikogo żadnych podejrzeń.

W pierwszej chwili pułkownik chciał zaprotestować, lecz natychmiast prawie uznał bezcelowość podobnego wystąpienia. Żeby poskromić swą złość, począł wędrować wielkimi krokami po sali, rzucając w stronę swej bratanki pełne złości spojrzenia. W parę chwil później zjawił się również lord Clifford. Na widok pułkownika Goara przeprosił go uprzejmie, że stał się mimowoli przyczyną opóźnienia jego wyjazdu:

— Pułkownik z pewnością nie weźmie tego panu za złe, lordzie... Zwłaszcza że muszę z nim porozmawiać w bardzo pilnej sprawie...

Słowa te wypowiedział markiz di San Balbo. Przywitał obecnych uśmiechem i dodał:

— Przypomniał pan sobie niewątpliwie, pułkowniku, że wczoraj rozpoczęliśmy nader interesującą rozmowę. Musieliśmy ją przerwać z powodu braku czasu, lecz przyrzekł mi pan ponowić ją przy pierwszej nadarzającej się okoliczności...

Słyszac te słowa pułkownik Goar okazał niesłychane zdumienie. Nie przypominał sobie bynajmniej, aby rozmawiał kiedykolwiek z markizem o poważnych sprawach. Wzmogło to jeszcze uczucie niepokoju, które od pewnego czasu opanowało pułkownika. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, udał się posłusznie za brazylijczykiem do biblioteki. Gdy znaleźli się sami w bibliotece, markiz wskazując pułkownikowi fotel rzekł ostro:

— Zechce pan usiąść.

Ruchem pełnym dystynkcji markiz wyciągnął z kieszeni swej marynarki grubą kopertę i rzekł, zniżając głos:

— Czy wie pan, co przygotowałem dla pana w tej kopercie?

Pułkownik wstał i odparł cierpko:

— Nie jestem w nastroju do rozwiązywania zagadek. Czy odważa się pan kpić z starszego od siebie człowieka? Czy nie uważa pan, że posiadam dostateczną przyczynę zdenerwowania, otrzymawszy wiadomość o nieszczęściu, które nawiedziło mój dom?

— Czy rozumie pan przez nieszczęście, fakt, że stary łotr, współnik pańskich bezwstydných postępów został obezwładniony?

Pułkownik Goar cofnął się jakgdyby uderzono go prosto w twarz. Mimo to głos jego pozostał dziwnie spokojny:

— Co chce pan przez to powiedzieć? Dokąd pan zmierza tymi niecnymi potwarzami?

Markiz odpowiedział mu tym samym obojętnym tonem:

— Możliwe: człowiek ten był niesłychanie biegły w podrabianiu charakterów pisma, do tego stopnia, że potrafił sfałszować testament pańskiego brata, tak, że najsprawniejsze oko nie mogłoby odróżnić charakteru pisma. Wskutek tego oszustwa, miss Goar została pozbawiona całego swego majątku i wydana na łup pana.

Pułkownik Goar wybuchnął nerwowym śmiechem, by pokryć swój niepokój:

— Pan chyba oszalał! Trzeba pana zamknąć w domu wariatów. Czy sądzi pan, że znajdzie się ktoś kto uwierzy w podobne brednie?

— Jeśli nie uwierzą mnie, uwierzą w każdym razie pismu pańskiego brata, które zostało uwierzytelnione przez świadka! Majątek wydarty pańskiej bratanicy będzie musiał pan zwrócić, sam zaś wtrącony zostaniesz do więzienia, pomiędzy przestępców.

W wypielegnowanej ręce markiz trzymał prawdziwy testament, który stary hipokryta zdołał ukryć. Testament ten ustanawiał miss Florence dziedziczką ogólną po jej ojcu.

Stary pułkownik stał jak skamieniały. Nienawiść, wściekłość i strach malowały się na jego twarzy.

— Czy mam zgłosić się z testamentem tym do sędziego? Czy też woli pan zwrócić swej bratanicy skradziony majątek?

Pułkownik Goar odzyskał wreszcie panowanie nad sobą. Na twarzy jego pojawił się ironiczny wyraz.

— Skądże pochodzi ów testament, mój drogi panie? — zapytał ironicznie — pamiętam dokładnie, że umieściłem go własnoręcznie w tajnym schowku mego biurka. Wiem już teraz, kto jest sprawcą włamania, popełnionego u mnie w Kilburn! To pan! a więc....

Uśmiechnął się zjadliwie...

— Jest pan również tym...

Jednym skokiem markiz znalazł się przy nim:

— Więcej ani słowa Ani sylaby! Kim jestem nic pana nie obchodzi. Ale kim pan jest, tym zainteresuje się towarzystwo tu zebrane i zapewniam pana, pułkowniku Goar, że nie długo cieszyć się pan będzie swym tytułem wojskowym.

Bezczelność starego fałszerza załamała się jak szkło, wobec energicznej postawy i spokoju markiza

— Czyżąda pan ode mnie? — rzekł cicho.

— Po pierwsze, aby pan zwrócił całe zagrabione mienie miss Florence Goar, powtóre, żeby pan zrezygnował całkowicie ze swych niecznych zamiarów w stosunku do jej osoby. Jeśliby miss Florence nie była tak dzielna i szlachetna, gdyby nie potrafiła z bronią w rękę bronić swego honoru, nie wiem do czego by doszło — dodał spoglądając wymownie na zabandażowaną rękę pułkownika.

— Cóż wielkiego? Byłaby dzisiaj moją kochanką... Sprawa ta nie powinna pana obchodzić pod żadnym pozorem. Natomiast widzę — rzekł zgrzytając zębami — że to niemądre stworzenie zadurzyło się w pana. Jedynym powodem, który skłonił pana do włamania się do mego mieszkania jest to, że pan uważa ją za smaczny kąsek — ją i jej majątek!

Markiz nie odpowiedział na ten zarzut. Po chwili namysłu dodał:

— Stawiam panu następujące warunki, pułkowniku: Gdy tylko policja na to zezwoli, ruszy pan natychmiast do Kilburn i tam się pan uda do notariusza, którego adres zechce mi pan podać. U notariusza tego zezna pan akt darowizny, która obejmować będzie cały majątek pańskiej bratanki, uwzględniony w prawdziwym testamencie. Pominiemy sprawę procentów, których jednak nie zużył pan na rzecz miss Florence. Jeźliby kiedykolwiek doszło do nowych napastowań dziewczyny, pociągnie to za sobą natychmiastowe pańskie aresztowanie. To samo

nastąpi, gdyby, nie zastosował się pan zupełnie dokładnie do wszystkich moich instrukcyj.

Z głową podniesioną wysoko, markiz zamierzał opuścić pokój, nie zważając na wściekłość fałszerza. Gdy był już przy drzwiach, przypomniał sobie widać o jeszcze jednej sprawie:

— Jeśli chodzi o służącego Boba, to wie pan lepiej jeszcze ode mnie, że oddawna zasłużył na szubienicę. Nędznik ten zniszczył materialnie i doprowadził do ruiny wielu ludzi. Zdeprawował szereg niewinnych młodych dziewcząt. Musi go pan usunąć. Wiem jednak, że on ma młodą żonę i małe dzieci. Nie mogę pana zmusić do tego, aby zajął się pan ich losem, dlatego też sam się nimi zaopiekuję. Muszę jednak przestrzec pana przed jednym:

Markiz utkwiał w oczach pułkownika ostre spojrzenie:

— Niech pan nie myśli, że może pan ze mną prowadzić podwójną grę. Mimo pańskiej zręczności, natychmiast odkryję każdy podstęp i każdą schadzkę. Konsekwencję takiego postępowania poniesie wyłącznie i jedynie tylko pan.

— Czy pan już skończył? — zapytał pułkownik, piniąc się z wściekłości —

— Oczywiście — przytaknął markiz. — Mam nadzieję, że nie będę zmuszony więcej rozmawiać z panem na ten temat.

— I ja również! — mruknął stary w sposób niewątpliwie szczery.

## Rywalki

Policja w obecności lorda Clifforda, przeprowadziła dokładną rewizję w całym domu. Rewizja ta nie dała żadnego rezultatu. Zdziwiającym było, że klucze od okradzionej kasy leżały na tym samym miejscu, w którym uprzednio położył je lord Clifford. Złodziej więc musiał najpierw wejść po nie do sypialni, po dokonaniu zaś kradzieży wrócić, aby je odnieść na miejsce.

Komisarz zajęty był właśnie rozmową z lordem Cliffordem, gdy nagle zjawił się mister Holliday.

— Nie ulega wątpliwości, panowie — rzekł przywitawszy się z nimi — że mamy tu do czynienia ze specjalnie wyrafinowanym łotrem.

Stwierdziwszy w ten sposób ów rewelacyjny zdaniem jego fakt, detektyw przyłożył wskazujący palec swej prawej ręki do nosa, zamierzając wyliczyć kolejno przesłanki tego twierdzenia.

— Po raz pierwszy w mojej karierze sławnego detektywa — ciągnął dalej — zdarzyło mi się, że przestępca odniósł nade mną zwycięstwo. Przypuszczam, że nikt nie wątpi w mą powszechnie znaną zręczność. Przeciwno tego rodzaju wyrafinowaniu oraz takiej szatańskiej odwadze, — nawet i moja osoba nie wystarczy.

Obydwaj mężczyźni z trudem powstrzymali się od śmiechu.

— Ponieważ wspominał pan, o szatańskiej odwadze i o sprawach nadnaturalnych — rzekł lord Clifford — czy nie wydaje nam się dziwnem, że przepowiednia markiza di San Balbo spełniła się tak co do joty?

— Proszę mi wybaczyć, milordzie — rzekł komisarz policji — człowiek, zdradzający niezwykłą inteligencję i lotność umysłu — w sprawach tego rodza-

ju każda okoliczność posiada doniosłą wagę. Jaka mianowicie była treść tej przepowiedni?

— O — przerwał dość niegrzecznie Holliday — mowa tu o rzekomym spirytystycznym seansie, który urządził nam, jeden z tutejszych gości.

— Chciałbym móc osobiście porozmawiać z tym panem — rzekł komisarz.

— Nic łatwiejszego — odparł lord Clifford — oto i on.

Ruchem głowy wskazał na markiza, który wychodząc z biblioteki, skierował się właśnie w stronę sali. Panowie przywitani się uprzejmym ukłonem. Lord przedstawił markizowi komisarza policji, który natychmiast zagadnął go na temat wspomnianego seansu.

— Czy jest pan medium?

— Istotnie. Uchodzę nawet za jedno z najbardziej wrażliwych mediów, zdolnych do umożliwienia kontaktu ludziom żywym z światem astralnym.

— Czy jest pan zwolennikiem tej ciekawej nauki? — zapytał raz jeszcze komisarz.

— Uważam, że wyjaśniłem przed chwilą panu komisarzowi mój pogląd na tę sprawę — odparł markiz lakonicznie.

— Proszę wybaczyć mi natarczywość moich pytań, markizie — tłumaczył śpiesznie komisarz. — W sprawie takiej, jak nasza, każdy szczegół ma znaczenie olbrzymie.

— O, rozumiem to doskonale... Jeśli to panu potrzebne, postaram się panu dokładnie opisać seans który miałem zaszczyt urządzić w tym zamku.

Komisarz wysłuchał z dużym zainteresowaniem ciekawego opowiadania i postanowił sam obejrzeć pokój, w którym odbył się seans.

— Czy nie mógłby nam pan wyjaśnić owego najdziwniejszego fenomenu: pojawienia się tajemniczego karła? — zapytał komisarz po drodze.

Markiz San Balbo wzruszył ramionami.

— Nam, spirytystom, wystarcza następujące wyjaśnienie: Niektórzy ze zmarłych potrafią zmaterializować się w formie takiej, która jest dostępna dla zmysłów zwykłych śmiertelników. To, że duch materializując się przyjął formę karła — jest sprawą czystego przypadku.

Komisarz przyjął to wyjaśnienie do wiadomości. Z jego nieruchomej twarzy nie można było wyczytać żadnego wrażenia. Zadowolony się pobieżnym obejrzeniem pokoju i wraz z obu panami powrócił do jadalni, gdzie nakryto właśnie do śniadania. W tej chwili pojawili się sir Edward Touston i Rudge Fitzgerald, którzy wyrazili chęć wyjazdu do Londynu natychmiast po śniadaniu. Lord Clifford wyraził swój żal z powodu ich odjazdu, lecz wyczuć było można że obecność nawet najlepszych przyjaciół jest w chwili obecnej dla lorda ciężarem. Mimo pozorów zdrowia i żywości — lord nie był już młody. Wypadki ostatniej nocy zmęczyły go i zdenerwowały: tęsknił za spokojem i odpoczynkiem. Nikt więc się nie zdziwił, że również i inni goście, między którymi znalazł się pułkownik Goar i markiz di San Balbo, zapowiedzieli swój wyjazd. Jedynie miss Florence, ku wielkiej radości swej przyjaciółki — Lilith Clifford wyraziła chęć pozostania jeszcze kilka dni. Pułkownik, zwykle sprzeciwiający się wszelkim jej planom, tym razem bez szemrania zgodził się na jej propozycję. Obojętnie zezwolił i na to, że natychmiast po śniadaniu dziewczyna znikła wraz ze swą przyjaciółką. Zaniekował się dopiero wówczas, gdy

spozstrzegł, że również i markiz opuścił salę jadalną.

Nie mylił się, przypuszczając, że jasnowłosa Florence i Brazylijczyk mieli sobie nawzajem dużo rzeczy do powiedzenia na pożegnanie.

Stali tuż przy sobie w wnęce okiennej z rękami splecionymi, oddzieleni od wzroku ciekawych ciężką jedwabną portierą. Brakło im słów aby wyrazić co czuli. Z pięknych oczu Florence płynęły łzy. Łkała myśląc o rozstaniu... Serce jej przepełniały smutne przecucia na temat przeszłości. Brazylijczyk pocieszał ją jak mógł, zapewniając o rychłym swym powrocie. Byli tak pochłonięci swą rozmową, że zapomnieli o otaczającym ich świecie. Żadne z nich nie usłyszało zbliżających się kroków, które zatrzymały się w odległości dwóch metrów od okna. Twarz wykrzywiona zazdrością, para oczu błyszczących nienawiścią zwróciły się ku nieświadomej niebezpieczeństwa parze. Mabel Morton nachyliła się, pod słuchując co szeptał sobie zakochani. Nie słyszała do kładnie słów, lecz to, co widziała wystarczyło, aby w sercu swym uczuła ukłucie. Nagle jakaś myśl przyszła jej do głowy. Jak cień, uciekła z pokoju i wróciła do jadalni.

— Droga moja przyjaciółko — rzekła, siadając obok lady Clifford — słyszałam, że Florence Goar zostaje u państwa jeszcze kilka dni. Jakkolwiek bagaże moje są gotowe, chętnie bym poszła za jej przykładem. Obawiam się jednak, że obecność obcych osób może być dla państwa zbyt uciążliwą.

Zatrzymała się, jakgdyby nie potrafiła dokończyć rozpoczętego zdania. Stara dama, zapewniła ją z pośpiechem, że nie powinna mieć najmniejszych skrupułów i że ona, Mabel Morton, nie jest już przez rodzinę Cliffordów uważana za obcą osobę.

Intrygantka została. Nikt z pewnością nie rozpoznałby w wytwornie odzianej damie, dziewczyny, dziewczyny, która obdarta i w brudnych strzępach przebiegała ongiś Whitechapel. Zostawszy aktorką w jednym z teatrzyków przedmieścia, potrafiła usidlić starego arystokratę, który ożenił się z nią. Umarł on wkrótce po ślubie, zostawiając młodej wdowie ogromną fortunę. Od tego czasu Mabel Morton, poczęła postępować ostrożnie. Przebiegła i sprytna, potrafiła utrzymać się na trudnym dla siebie stanowisku społecznym. Uczęszczała regularnie do kościoła, dawała jałmużnę — ale zawsze w sposób głośny, i rzucający się w oczy. Potrafiła nader sprytnie brać się do dzieła. Gdy tylko goście opuścili Rastingshouse posłała swą pokojową do miss Florence Goar z prośbą, aby przyszła ją odwiedzić. Prośba ta usprawiedliwiona była wiekiem i stanowiskiem mężatki, wobec czego miss Florence przyjęła zaproszenie. Rozmowa zwróciła się szybko na kobiece tory: za stanawiano się nad modą, teatrem i ploteczkami. Bez trudu udało się Mabel Morton zahaczyć o temat, który interesował dziewczynę najbardziej, a mianowicie na markiza di San Balbo.

Po zręcznych komplementach, którymi ujęła serce zakochanej dziewczyny, Mabel Morton dodała:

— Szkoda wielka, że nie mogę wyzbyć się wobec tego człowieka uczucia pewnego niepokoju. Trudno mi uwierzyć, że jest on tym, za którego się podaje.

Dziewczyna zbladła, i zaprzeczyła gorąco.

— Chciałabym móc przyznać pani rację — rzekła madame Morton z uśmiechem — Niestety, to co wiem, potwierdza moje przypuszczenia. Zdaje mi się, że pani interesuje się bardzo tym człowiekiem?

Kropla przepętniła czarę: Florence Goar nie mogąc wydusić słowa skinęła potakująco głową. Jej piękne błękitne oczy napełniły się łzami.

Wobec takiego przyznania rzekoma przyjaciółka zmieniła odrazu ton.

— A więc nie omyliłam się — rzekła świszczącym głosem — Kocha pani markiza? A gdybym pani powiedziała, że człowiek ten nie jest godzien miłości?, że jest to niebezpieczny złoczyńca, który tyśiące razy znajdował się w konflikcie z prawem i który ma za sobą lata więzienia?

Florence oburzona, zerwała się z miejsca i dumnie wyprostowała się przed Mabel.

— To nie prawda! To niegodne kłamstwo!

Jak dziki kot, mała brunetka z zaciśniętymi dłońmi rzuciła się na dziewczynę:

— Niech pani cofnie natychmiast te słowa. Inaczej dowiedź pani przed ludźmi, że wszystko co mówiłam jest prawdą!

Florence Goar zdradzała. Myśli jej pracowały z gorączkową szybkością. Przypomniała sobie wszystko to, co uderzyło ją, jako niezrozumiałe w osobie i postępowaniu markiza: dziwna przepowiednia tajemniczego karła, kradzież milionów, odzyskanie ukrytego testamentu, pisanego przez jej ojca, — testamentu, który dostać się mógł do rąk jego tylko drogą kradzieży... Wszystkie te fakty nie zdołały jednak osłabić ani przez chwilę miłości ani zaufania, które żywiła wobec ukochanego człowieka. Kobiecym instynktem odczuła, że z Mabel Morton należy postępować ostrożnie. Wiedziała, że kobieta owa kochała również tego samego człowieka, i że zazdrość doprowadzić może do podłości.

— W jaki sposób dowiedziała się pani o tym? madame Morton — zapytała łkając.

Intrygantka wpadła w zastawione sieci. Sądziła, że odniosła już łatwe zwycięstwo nad młodą i niedoświadczoną dziewczyną. Czyż nie miała zresztą dawniejszych od niej praw do jego osoby? W wyjaśnieniach starała się przedstawić siebie w jaknajlepszym świetle. Była aniołem wybawicielem, który litościwą dłoń wyciągnął do człowieka, staczającego się w przepaść. Oczywiście, wyjaśnienia te odbiegały bardzo daleko od rzeczywistości.

— I oto taka spotyka mnie zapłata — rzekła z emfazą — Oto nagroda, że wyciągnęłam go z przepaści i wprowadziłam w świat uczciwy, z którego wyszedł już oddawna. Teraz zwrócił się do ciebie, szuka nowej ofiary... Opowiada ci te same kłamstwa, którymi kiedyś uwiódł moje serce!

Florence Goar, która w głębi serca nie myślała bynajmniej o oddaniu swego ukochanego, po mistrzowski grała rolę do końca. Instynkt jej mówił, że z tej strony zagraża markizowi duże niebezpieczeństwo, i że tylko jej polityka może niebezpieczeństwo to odwrócić.

— Cóż mam robić? — płakała.

Mabel udawała, że się zastanawia. Wreszcie spoglądając w oczy młodej dziewczyny rzekła surowo:

— Jedyne co ci pozostaje: musisz porzucić tego człowieka i pozostawić mi go całkowicie! Raz już sprowadziłam go z błędnej ścieżki i przypuszczam, że uda mi się to uczynić po raz wtóry. Kocham go miłością czystą i bezinteresowną, chce z niego uczynić dobrego i szczęśliwego człowieka.

Piękne dziewczę schyliło swą jasną główkę. Florence, podziwiając sama swe zdolności aktorskie

chwyciła obie ręce młodej kobiety i przycisnęła je do swego serca. Gdy rozstały się, każdy w swym sercu kryła jedną i tą samą myśl: za wszelką cenę zachować dla siebie miłość ukochanego człowieka.

## Szulerzy

W najelegantszej dzielnicy Londynu w sąsiedztwie Pall Mall, markiz di San Balbo miał swoje mieszkanie. Była to mała willa, dziwaczna w stylu, położona w środku wspaniałego, dużego ogrodu. Panował w niej taki spokój i cisza, że możnaby uważać ją za niezamieszkałą przez nikogo.

Dwaj negrzy, pełnili rolę służby. Ludzi tych olbrzymiego wzrostu sprowadził podobno markiz ze swego kraju, aż z Vuelta.

Na pierwszym piętrze znajdował się gabinet markiza. Pokój ten umeblowany był z niezwykłą wspaniałością. Na ścianach wisiały wspaniałe dywany indyjskie i tureckie, na nich zaś cenna broń i trofea myśliwskie. Na podłodze leżały wspaniałe skóry zwierzęce, pochodzące ze zwierząt zastrzelonych przez samego markiza.

Brazylijczyk i przyjaciel jego, Rudge Fitzgerald, siedzieli tego wieczoru w gabinecie, pijąc doskonały koniak i zaciągając się dymem oryginalnej hawany.

— Jesteś smutny dzisiaj, drogi Charly — rzekł lord Lister, ponieważ to on był markizem — wygląda, jakgdybyś stracił zaufanie do swego przyjaciela. Może przegrałeś w karty?

Charley twierdzącą skinął głową.

— Czy dużo?

— Bardzo dużo — odpowiedział Charley zduszonym głosem.

— Nie rozumiem cię zupełnie — mój drogi — rzekł pseudo Brazylijczyk — znamy się tak długo, że mógłbyś mi wreszcie wymienić sumę... Zwracam się do ciebie poważnie, abys mi powiedział, ileś przegrał?

Młody człowiek zawahał się przez chwilę i rzekł zgaszonym głosem:

— Przeszło dziesięć tysięcy funtów.

— Hm, hm — rzekł lord. — To rzeczywiście duża suma! Zwłaszcza, że idzie tu o dług honorowy, który winien być uiszczony w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Ale przecież ja nie mam ani grosza — jęknął jego przyjaciel.

— Całe szczęście, że nie mogę tego powiedzieć o sobie — rzekł lord Lister spokojnie.

Wyciągnął z portfela dwaście tysięcy funtowych banknotów i rozłożył je przed swym przyjacielem. Miał zamiar już schować zpowrotem portfel do kieszeni, gdy nagle wyjął zeń jeszcze trzy banknoty pięćdziesięciofuntowe i wręczył je młodemu Fitzgeraldowi:

— Zapomniałem, że brak ci zakładowego kapitału!

— Rudge walczył ze wzruszeniem. Zarzucił wreszcie ręce dokoła szyi swego przyjaciela i drżącym głosem wyjąkał słowa podzięk. Markiz uderzył go po ojcowski po ramieniu i rzekł poważnie:

— Teraz, gdyśmy na szczęście załatwili tę głupią sprawę, chciałbym ci coś powiedzieć. Nie będę ci czynił wyrzutów. Rozumiem, że istnieją przypadki, na które jesteśmy narażeni wszyscy i że wszyscy zależymy od kaprysów szczęścia. Oświadczam ci jednak,



że twoje niepowodzenie wydaje mi się podejrzane. Naturalnie grałeś w Klubie Czterech?

Młody człowiek skinął głową.

— A więc i ja znam ten klub i gdybyś mnie był zapytał, nie wziąłbyś tam kart do ręki.

Zdziwiony i oburzony, Fitzgerald spojrział uważnie na markiza:

— Jak możesz nawet myśleć o takich rzeczach! Klub ten odwiedzają sami gentlemani. Żaden z nich nie byłby zdolny do takiej nieuczciwości!

— W grze różnie bywa— zauważył markiz. — Czasem zupełnie porządni w życiu ludzie oszukują w kartach. Zresztą, nie jestem całkiem twego zdania o tym klubie. Mogłbym ci zresztą nazwać jednego skończonego oszusta: jest nim pułkownik Goar.

— Jak możesz...

— Nie mówię nic na wiatr, zresztą nie warto dyskutować na ten temat. Musisz tak czy inaczej udać się do klubu, aby zapłacić dług. Chciałbym, abyś mi pozwolił uczynić to za siebie. Mam wrażenie, że mogłbym odegrać to, co ty stracił i oczyścić klub z ludzi, którzy niesłusznie i bezprawnie podszywają się pod nazwę gentlemanów.

W pół godziny później dwaj nasi przyjaciele wchodzili do salonu gry Klubu Czterech. Pierwszą osobą, która im wyszła na spotkanie, był pułkownik Goar. Z szczerą radością, jakgdyby nie pamiętał tego, co między nimi zaszło, energicznie uściśnął rękę markiza oraz jego przyjaciela.

Należy dodać, że poprzedniej nocy pułkownik Goar trzymał bank i on głównie był wierzycielem młodego Fitzgeralda.

Młodzieniec z pośpiechem uścił się wobec niego ze swego długu. Stary oszust przyjął to jako rzecz najzupełniej naturalną i z obojętną miną wsunął banknoty do kieszeni. Rozstawiano zielone stoliki. Markiz i jego przyjaciel zajęli miejsce przy stoliku naprzeciw bankiera. Z początku przyglądali się tylko nie biorąc udziału w grze. Grano w bakarata. Wylosowano miejsca i przypadek zrzucił, że pułkownikowi znów przypadło miejsce naprzeciwko markiza. Zaczęto rozdawać karty. Jak to się zwykle zdarza, zaczęto od stawek niewielkich. Gra nie przedstawiała nic ciekawego. Powoli jednak zaczęto się ożywiać. Jakiś pan, siedzący na prawo od Brazylijczyka rzucił na stół dwudziestofuntowy banknot i inni gracze poszli jego śladem. Markiz powiedział „pas“ nie spuszczać wzroku z bankiera. Spostrzegł wyraźnie że pułkownik Goar trzyma karty tuż przy krawędzi stołu. Stary rutynowany gracz wahał się, czy ma wziąć jeszcze jedną kartę, co mogłoby stanowić jego zgubę: wedle zasad baka, wolno mieć w kartach dziewięć punktów ani jednego zaś punktu więcej. Rozłożył wreszcie karty: miał osiem. Ponieważ wielu graczy miało dziewięć — bankier przegrał. Radość zapanowała wśród graczy, choć wszystko odbyło się w nader dyskretny i spokojny sposób. Nikt nie zauważył, że twarz bankiera, którym był pułkownik Goar, pozieleniała z wściekłości. Markiz uśmiechnął się do siebie. Zaczęto nową grę. Markiz wstał ustępując miejsca swemu przyjacielowi. Wyszedł z sali gry i skierował się do bufetu. Podczas gdy zaspakajał swój apetyt zła passa widać opuściła bankiera. Wygrywał on nieustannie większe sumy, podczas gdy pozostali gracze wygrywali od czasu do czasu jedynie jakieś drobne kwoty. Sala gry oprócz drzwi do bufetu posiadała jeszcze jedno wyjście do palarni. Wyjście to mało używane w czasie gdy wszyscy pochłonięci byli hazardem, przysłonięte było ciężką portierą. Nikt nie zauważył, że portiera ta

rozsunęła się lekko i w szparze ukazało się oko ludzkie. Za portierą stał markiz San Balbo. Wkrótce poczynił nader ciekawe obserwacje. Podnieceni ciągłą przegraną, poczęli znacznie podwyższać stawki. Duża suma znajdowała się w banku.

Tak jak poprzednio bankier zajrzał do swych kart, które składały się z damy, nie mającej w tej grze żadnego znaczenia oraz siódemki. W tym samym czasie towarzysz jego z lewej strony, który passował, wślizgnął prawą ręką do kieszeni swej kamizelki. Pułkownik, namyślając się ciągle kiwał głową. Markiz zauważył wyraźnie przez uchyloną portierę, że uczynił on dwa znaki, jeden po drugim. Nagle ręka towarzysza z lewej strony, który niewątpliwie był jego współnikiem, wysunęła się z kieszeni i poczęła czynić jakieś ruchy pod stołem.

Nikt nie mógł zauważyć tego manewru.

Gdy ręka ta przysunęła się do miejsca, nad którym znajdowały się ręce bankiera, pułkownik Goar z nieopisaną zręcznością pochwycił kartę i wymienił swoją damę. W tej samej chwili pułkownik rzucił karty na stół: miał dziewięć punktów i wygrał. Nie zdążył jednak zainkasować wygranej. Jakgdyby spod ziemi markiz di San Balbo wyrósł pomiędzy bankierem a jego spółnikiem. Jednym ruchem ręki zerwał smoking z tego ostatniego i oczom oburzonego towarzystwa okazał podszewkę smokingu. W podszewce tej znajdowały się dwie bardzo długie kieszenie, w których ułożone były karty w zgóry określonym porządku.

Osobnik opierał się, lecz Brazylijczyk silnym uderzeniem pięści powalił go na ziemię. Pułkownik Goar stał spokojnie. Mniemał on, że uda mu się wyjść cało z całej tej afery. Szybko jednak przekonał się, że był w błędzie. Markiz przeliczył obie talie kart, będące w grze.

— Panowie, w jednej z dwóch talii brak jest jednej karty. Tą kartą jak każdy z was może łatwo się przekonać, jest dwójka. A ta dwójka, dodał markiz, odkrywają karty bankiera — znajduje się właśnie tutaj. Jest to właśnie ta „szczęśliwa“ karta, dzięki której pułkownik Goar wygrywał tak nieustannie.

Na szczęście markiz łączył z niezwykłą odwagą również i niezwykłą zwinność.

Pułkownik wyciągnął rewolwer, lecz markiz zręcznym ruchem podbił mu rękę i kula utkwiała w suficie. W jednej chwili napastnik został obezwładniony i rzucony na ziemię. Nie posiadając się z wściekłości wyrzucił z siebie stek brudnych wyzwisk i zniewag. Słowa te jednak nie wywarły na nikim najmniejszego wrażenia.

Oskarżył markiza o to, że był on sprawcą wszystkich tajemniczych kradzieży, które ostatnio miały miejsce i których zagadki nie potrafiiono wyjaśnić. Z tym samym jednak powodzeniem mógłby mówiąc o tym, że sułtan turecki popełnił te przestępstwa we własnej osobie: nikt nie dawał mu wiary. Słowa jego miały jedynie ten skutek, że zagrożono mu związaniem i zakneblowaniem ust do czasu przybycia policji. W rzeczywistości nikomu nie śniło się mieszać władz w te sprawy. Pozostawiając obywateli szulerów pod strażą służby członkowie klubu udali się do sąsiedniej sali aby powziąć decyzję co należy dalej czynić. Po krótkiej naradzie zdecydowano, że we wspólnym interesie nie należy rozgłaszać sprawy dalej i czekać, aż oszuści sami wpadną w ręce sprawiedliwości. Oznajmiono postanowienie to obu szulerom, przy czym jako warunek postawiono, aby więcej noga ich w

klubie nie powstała. Wspólnik bankiera uciekł jak szczerzy zajac, gdy tylko usłyszał o ucieczce z więzów. Natomiast pułkownik opuścił salę welnym krokiem, rzuciwszy Brazylijczykowi pełne nienawiści spojrzenie.

## Zazdrość i zemsta

Tego wieczera jeszcze bardziej gęsta niż zwykle mgła rozpostarła się nad olbrzymim miastem. Londyn spowity był w nieprzeniknione ciemności. Pojazdy i samochody w ożywionych ulicach musiały zatrzymać się w tym miejscu, gdzie je mgła zastała. Piesi zaś narażeni byli dnia tego na ulicach Londynu na większe niebezpieczeństwo niż na wzburzonym morzu podczas gwałtownej burzy. Ludzie niechętnie ruszają się w dzień taki ze swych mieszkań.

Dlatego też markiz di San Balbo ze zdziwieniem usłyszał w owo mgliste popołudnie dźwięk dzwonka u swej bramy. Na dany znak jeden z dwóch negrów ruszył do bramy. Po chwili wrócił z jakąś osobą, którą niósł raczej niż prowadził.

Markiz znajdował się w westibulu. Nie wierzył własnym oczom gdy w kobiecej postaci po odświeżeniu woalki i szalu rozpoznał miss Florence.

Na rozkaz pana murzyn przyniósł sole trzeźwiące. Brazylijczyk uwolniwszy szyję młodej dziewczyny z krępującego ją okrycia, zaniósł ją prawie do kominka, na którym płonął wesoły ogień. Umoczywszy usta w kieliszku wina, zaofiarowanym jej przez markiza, młoda dziewczyna odzyskała mowę.

— Niech pan ucieka! — zawołała w trwodze, niech pan ucieka szybko! Są już na pańskim śladzie!

Uśmiechnął się.

— Proszę mi opowiedzieć — rzekł ze spokojem — nie mającym w sobie nic z afektacji.

— O — zawołała — gdyby nie mgła oddawna byłiby już tutaj i może znajdowałby się pan teraz w więzieniu.

• Potrzęsnała głową:

— Nigdy nie pozwałam zamknąć się do więzienia. Pozostawiam to tym, którym miejsce to bardziej przystoi niż mnie. Przejdźmy się teraz do mego gabinetu, gdzie będziemy mogli pomówić spokojnie.

Ostrzeżenie nie czyniło na nim żadnego wrażenia.

— Czy pan mnie zrozumiał — błagała — Są już na pańskim śladzie...

Ta okropna Mabel Morton...

Przerwał jej z uśmiechem:

— Nie potrafiła więc zamilczeć, łotrzyca... A więc wie pani kim ja jestem naprawdę?

Młoda dziewczyna nie odpowiedziała. Smutnym wzrokiem spoglądała przed siebie.

— A więc wreszcie i oni odgadli — rzekł markiz śmiejąc się — Przybywają po to, aby mnie zatrzymać.

— Tak — spoglądała nań swymi wielkimi, pełnymi prośby oczyma — Niech pan ucieka póki jeszcze czas — Ja tu zostanę i zawiadomię pana o wszystkim co się stało

— Pani jest zbyt dobra — wyszeptał wzruszony — nie mogę jednak na to przystać, i proszę aby natychmiast zechciała pani opuścić mój dom. Niech pani pozwoli mi działać i ma do mnie zaufanie.

Markiz nacisnął guzik. Zjawił się Sam przynosząc palto młodej dziewczyny. Gdy już była ubra-

na, Brazylijczyk sam jeszcze okrył ją starannie futrem.

W minutę później John Raffles pozostał sam. Murzyn i dziewczyna, powierzona jego opiece nie mogli ująć daleko, gdy ostry dźwięk dzwonka dał się słyszeć u bramy.

Śmiejąc się ironicznie i z energicznie zaciśniętymi ustami, markiz zawołał swego drugiego negra i rzekł mu kilka słów: murzyn oddalił się i wrócił z powrotem po chwili w towarzystwie czterech panów.

Byli to lord Clifford, mały detektyw James Holiday — komisarz policji londyńskiej i agent w uniformie.

— Czego panowie sobie życzą? — zapytał markiz, opierając się lewą ręką o powierzchnię swego biurka i kłaniając się uprzejmie

— Mam wrażenie, że pytanie to jest zbędne — rzekł detektyw, stając znów na wysokości sytuacji. — Dość już długo wodził nas pan za nos...

Wiemy dokładnie — że pan jest owym sławnym Rafflesem... Może mamy pozwolić, aby skradł pan jeszcze kilka milionów?

Przez chwilę markiz spoglądał z pełnym dobrotności pogardy uśmiechem na małego człowieka, który przemawiał do niego w arogancki sposób.

— Mało mnie obchodzi to, co mówi ten jegomość — rzekł, pochylając się z lekka ku przodowi. — Fakt, że pozwałam mu jeszcze pozostać w tym pokoju zawdzięcza on towarzystwu, w jakim do mnie przyszedł. Ale pan, milordzie, którego wizytę uważam sobie za zaszczyt, czemu przybył pan do mnie w asyście policjantów?

Niezbyt miło było lordowi odpowiedzieć na to pytanie. Chrząknął z zakłopotaniem:

— Otóż to właśnie... Bardzo mi przykro... Ale podejrzenia skierowane zostały przeciwko panu! Zrozumiałby pan mnie, gdyby znał pan dokładnie okoliczności... Podejrzenia są tak poważne...

— Czy mogę wiedzieć o co mnie oskarżają? — zapytał jasny zimny głos.

W tej chwili komisarz policji wtrącił się do rozmowy i ku wielkiej radości lorda rzekł krótko:

Jest pan podejrzany o włamanie się do kasy ogniotrwałej lorda Clifforda i wykradzenie sumy, która tam została złożona.

— Kto mnie o to podejrzewa?

— Sam lord.

Markiz spojrział poważnie przeciągłym wzrokiem na starego arystokratę i rzekł:

— O, milordzie — sprawia mi pan tym wielki ból!

Zwracając się następnie do komisarza — ciągnął dalej tonem zimnym i pełnym wyższości:

— Zbędnym jest przypominać panu, że aresztowanie Anglika w jego własnym domu możliwym jest tylko na zasadzie piśmiennego nakazu aresztowania podpisanego przez prokuratora.

— Ale pan nie jest Anglikiem — zaśmiał się ironicznie komisarz. —

— A więc pozwala pan sobie wobec cudzoziemca, korzystającego z gościny pańskiego narodu na postępowanie sprzeczne z prawem, którego żaden Anglik nie zniósł dobrowolnie?

Komisarz, coraz bardziej wzburzony, nie mógł powstrzymać się od okrzyku:

— Nie przyszedłem tu po to, aby dyskutować z panem! Proszę wiaść palto i kapelusz i pójść z nami do Scotland Yardu. Czy mam wobec pana użyć siły?

Markiz cofnął się o krok. Na twarzy jego pojawił się wyraz tak dzikiej energii, że mały detektyw wysunął się naprzód ze słowami:

— Oto właściwe słowo — rzekł — Naprzód lub wyjmemy kajdanki.

Powiedziawszy to, cofnął się ostrożnie i zamilkł jak trusia.

— Dowiodę wam — rzekł markiz — że ja nie zapominam o posłuszeństwie, jakie winienem władzom nawet w wypadku, gdy władze te są w błędzie. Ponieważ nie przypuszczam, abyście mi pozwolili panowie udać się samemu do mej garderoby, zadzwonię na mego służącego, aby mi tu przyniósł moje rzeczy.

Brazylijczyk nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. W tej samej chwili zjawił się murzyn, który na rozkaz swego pana przyniósł mu kapelusz oraz palto i pomógł przy ubieraniu.

Markiz wówczas powiedział murzynowi kilka hiszpańskich słów. Komisarz policji nieustannie naganiał go do pośpiechu.

Markiz przeszukał kieszeń swej marynarki i rzekł:

— Mój portfel! — rzekł. — A, oto on!

— Niech nam pan go odda odrazu — rzekł Holliday — prawdopodobnie znajdziemy w nim całą skradzioną sumę!

— Momencik — rzekł markiz — chciałbym jeszcze zapalić papierosa.

Mówiąc te słowa nachylił się nad pudełkiem papierosów stojącym na biurku, naciskając jednocześnie pedał ukryty pod biurkiem.

W tej samej chwili pokój ogarnęły ciemności.

Komisarz rzucił się gwałtownie naprzód, aby wyjąć ze swego palta latarkę elektryczną, lecz potknął się o podstawioną nogę i wyciągnął jak długi. Mister Holliday, który również rzucił się w pogoń za przestępcą — otrzymał w ciemnościach tak silne uderzenie pięścią, że gwiazdy zamigotały mu przed oczyma i z trudem utrzymał się na nogach.

Zarówno lord jak i agent policji, porządny Irlandczyk — przyszli do rozsądnego wniosku, że bezpieczniej jest usunąć się w cień i nie narażać się na przykrości, które spotkały nieszczęsnego detektywa

— Dobranoc panom! — usłyszano jeszcze ironiczne słowa Brazylijczyka.

Rozległ się odgłos szybko oddalających się kroków i trzaśnięcie drzwiami.

Policjanci nie mogąc odnaleźć elektrycznych latarek, macali ściany i nie mogli przez czas dłuższy trafić do drzwi.

Gdy znaleźli je wreszcie, egipskie ciemności ogarnęły poszukujących.

— Bandyta pogasił wszystkie światła elektryczne, — pnił się mały detektyw — będzie się miał z pyszna, gdy dostanie się w moje ręce!

Mimo powagi sytuacji, pozostali trzej mężczyźni nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Wreszcie, po dłuższym czasie i próbując kolejno drzwi prowadzących do rozmaitych pokojów, natrafili w końcu na drzwi wejściowe. W ogrodzie natknęli się na mgłę, ową mgłę gęstą i nie do przebycia, która trwała od kilku dni i uniemożliwiała wszelką pogoń.

W ten sposób lord Lister, czyli John C. Raffles, ów Tajemniczy Nieznajomy raz jeszcze wyrwał się z rąk policji.

Koniec.

Następny numer 5 „**Lorda Listera**“ który ukaże się w czwartek dn. 9 grudnia b. r. zawierać będzie przygodę p. t.

## UWODZICIEL W PUŁAPCE

Cena 10 gr.



Cena 10 gr.

**Kto go zna?**

— oto pytanie, które zadają sobie w Urzędzie Śledczym Londynu.



**Kto go widział?**

— oto pytanie, które zadaje sobie cały świat.

**L O R D L I S T E R**

**T. ZW. TAJEMNICZY NIEZNAJOMY**

spędza sen z oczu oszustom, łotrom i aferzystom, zagrażając ich podstępnie zebranym majątkom. Równocześnie Tajemniczy Nieznajomy broni uciśnionych i krzywdzonych, niewinnych i biednych.

**Dlaczego przestępcy wszystkich krajów drżą przed Lordem Listerem?...**

**Dlaczego miliony Czytelników na całym świecie zachwycają się jego przygodami?!...**

**Albowiem**

nigdy jeszcze nie było człowieka, któryby w równej mierze łączył **ROZUM — SIŁĘ — PRZENIKLIWOŚĆ — GRUNTOWNĄ WIEDZĘ — ODWAGĘ I PRZYTOMNOŚĆ UMYSŁU** — i wszystkie te rzadkie dary szlachetne oddał na usługi Biednym i Wydziedziczonym przez los

**Czytajcie**                      **emocjonujące i sensacyjne**                      **Czytajcie**  
**PRZYGODY LORDA LISTERA**

**Cena 10 gr.**      **Co tydzień ukazuje się jeden zeszyt, stanowiący oddzielną całość**      **Cena 10 gr.**

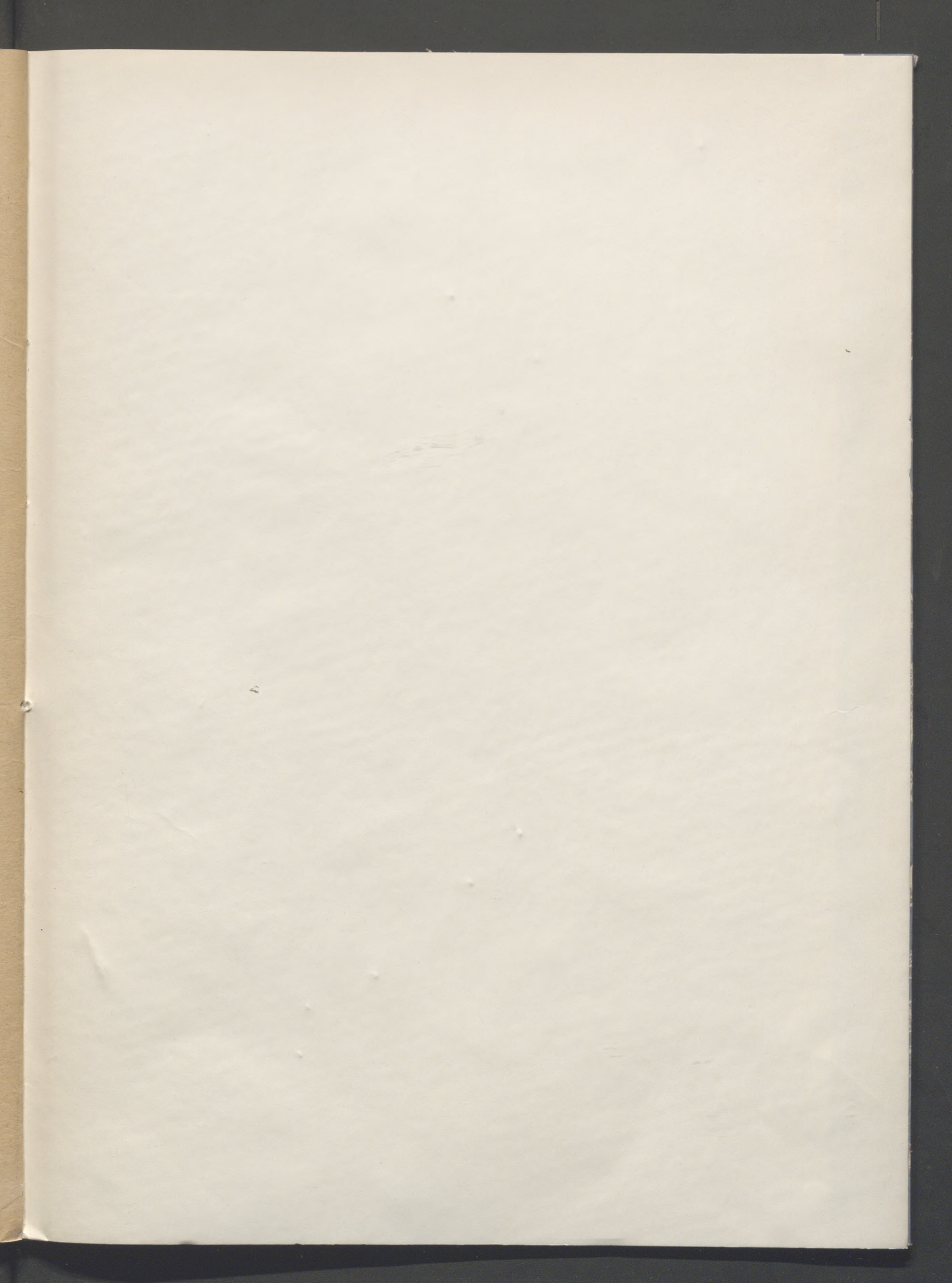
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak.

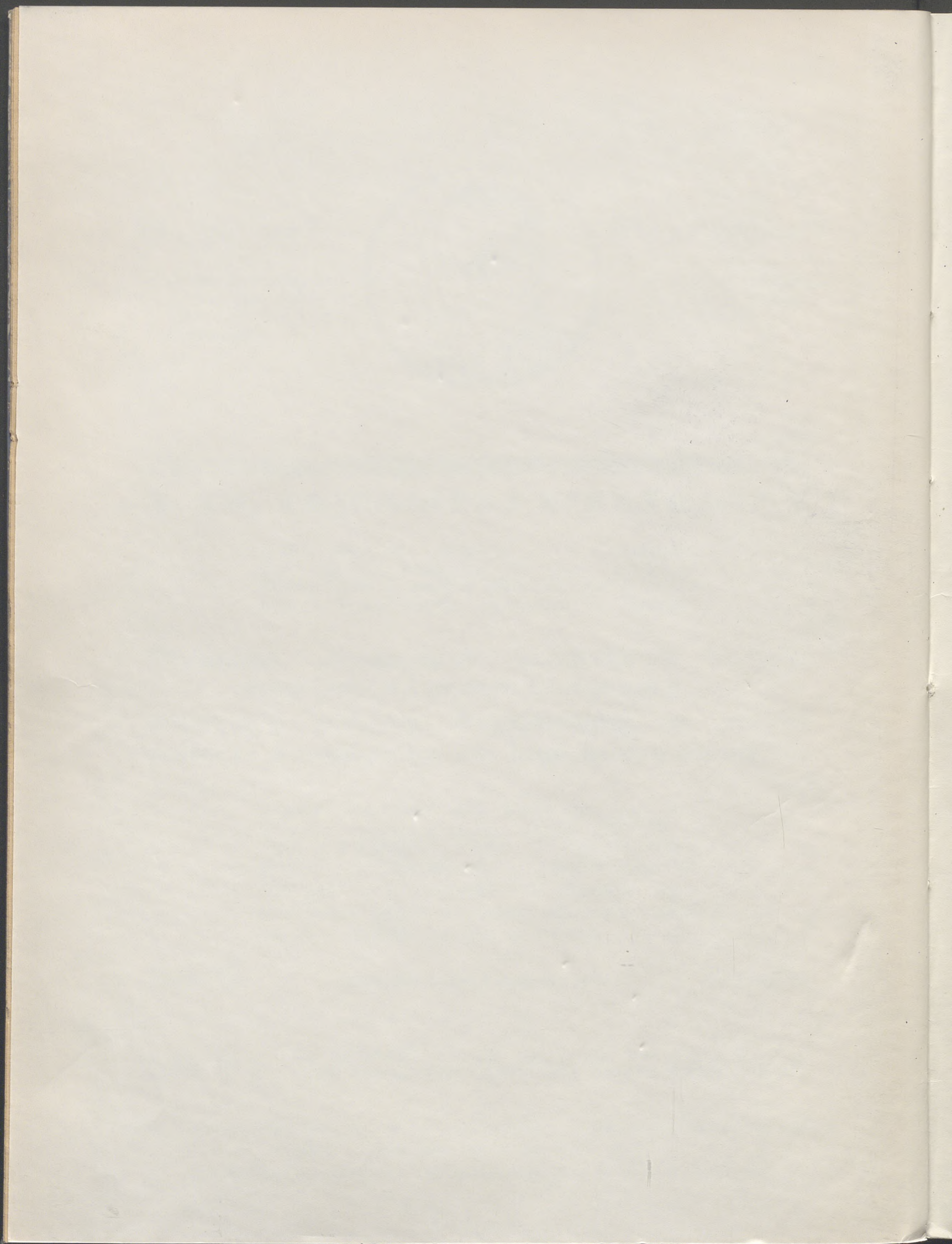
Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pitczak.

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64.

Konto PKO 63.143 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

1458/38





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001026381549





623395/4



4

